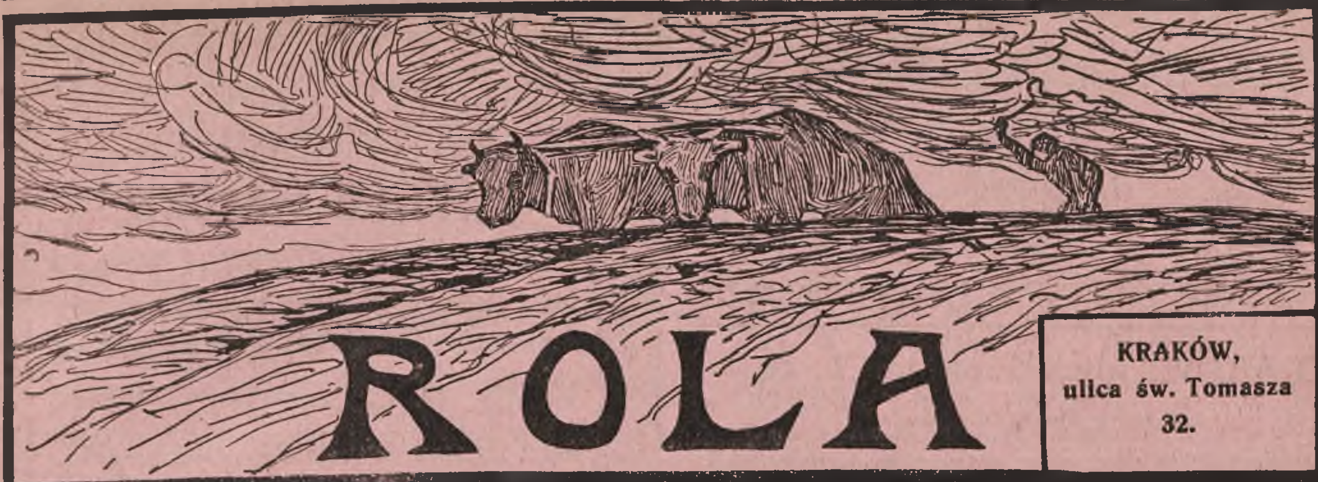
Numer 1. Dnia 7 stycznia 1912.



KRAKÓW, ulica św. Tomasza 32.

TYGODNIK OBRAZKOWY NA NIEDZIELĘ KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

„SINGERA“ „66“

najnowsza i najdoskonalsza maszyna do szycia.



„SINGERA“ maszyny

nabywać można li tylko w naszych składach.

Singer Co., Towarzystwo Akcyjne maszyn do szycia

KRAKÓW, ulica Szpitalna L. 40,

naprzeciw Teatru Miejskiego.

Swój do swego!

TANIEJ NIŻ WSZĘDZIE

można nabyć (119)

wyroby tkackie

z firmy („pod opieką Najśw. Rodziny“)

JÓZEFA JÓRASZA

w **Korczynie** obok **Krosna** (Galicya).

Proszę żądać próbek i cenników darmo i opłatnie.

Swój do swego!



Aleksander FISCHHAB

Fabryka pieczęci kauczukowych i drukarń domowych. Szyldy, napisy emaliowane i metalowe, marki pieczątkowe (nalepki) do listów, numeratory najnowszej konstrukcyi.

Kraków, ul. Grodzka l. 50.

Telegramy: Fischhab, Kraków.
(204) Telefon 2042-VIII.

OBUWIE

nieprzemakalne do polowania i turystów z juchtów angielskich i skóry bawoli, prawdziwie nieprzemakalne, za które się ręczy, poleca własnego wyrobu

W. KAPERA

Kraków, Sławkowska 24.

Każdy

włościanin powinien pamiętać i powtarzać to drugim, że swoje budynki i dobytek od ognia **a ziemiopłody od gradu** ubezpieczyć powinien

tylko wyłącznie we

„WIŚLE“

jedynej i prawdziwej ludowej asekuracyi.

Siedziba Towarzystwa:

Lwów, ul. Wałowa 14, I. piętro.

Sekretaryat Komitetu obyw. dla sprawy F. Kurasia

w Tarnobrzegu, poleca:

Kolasiński Zygmunt: Skarbczyk pieśni narodowych (60 najpopularniejszych pieśni nar. z życiorysami autorów i objaśn.) . . . . . . K. —·**50**

Kuraś Ferdynand: Z pod chłopskiej strzechy. Poezye . . . . K. —·**50**

Kuraś Ferdynand: Wiązanka z chłopskiej niwy. Poezye . . . . K. —·**50**

Kuraś Ferdynand: Tatarzy w Sandomierzu. Dwie legendy. Z przedmową Zygmunta Kolasińskiego . . . . K. —·**50**

40% z rozsprzedaży przeznaczono na Dar Narodowy w postaci zagrody dla poety ludowego F. Kurasia.

Żądajcie wszędzie! Żądajcie wszędzie!

ŚMIECHOWSKIEGO

MYDŁO RAJSKIE

KRAKOWSKIEJ FABRYKI MYDŁA

C. ŚMIECHOWSKI

KRAKÓW. Spółka z ogran. odpow. **KRAKÓW.**

Mydła Śmiechowskiego wyrabiane z najczystszych najprzedniejszych tłuszczy, według patentu austr. Nr 24381 są w użyciu niezrównane, najlepsze do mycia i prania. Wszędzie do nabycia. (209)

Czytajcie uważnie!



POLSKIE TOWARZYSTWO EMIGRACYJNE

w Krakowie

przy ulicy Radziwiłłowskiej l. 21 (w domu własnym)

prowadzi we własnym zarządzie

przez c. k. Namiestnictwo koncesyonowane

Biuro podróży

sprzedające karty okrętowe na rozmaite porty europejskie, do wszystkich portów półn. i południowej

AMERYKI.

Z biurem tem połączona jest oprócz sprzedaży kart okrętowych także sprzedaż biletów kolejowych.



przez c. k. Namiestnictwo koncesyonowane

Biuro pośrednictwa pracy

dla robotników rolnych, poszukujących zarobków zagranicą

we Francyi, Danii, Szwecyi, w Czechach, w Austryi Dolnej i Górnej, na Śląsku, w Bawaryi etc.

Pamiętajcie więc radzić każdemu, by, jeśli potrzebuje karty okrętowej na podróż do Ameryki albo szuka zarobku na obczyźnie, zwracał się tylko do naszego Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego w Krakowie, ul. Radziwiłłowska 21, bo w Towarzystwie tem, założonem nie dla zysku ale dla opieki nad wychodzcami znajdzie rzetelną poradę, wskazówki i pomoc!



Rok VI.
Kraków, dnia 7 stycznia 1912 r.
Nr. 1.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6. Telefon nr. 2346.

„O! roku ów!“

(1912).

Minął rok stary i zamknął drzwi z trzaskiem,
Aby już nigdy więcej nie powrócić,
A hen z obłoków płynie nowy z blaskiem,
Idzie nam ludziom różne pieśni nucić,
Na czole jego płonie gwiazda złota,
Tryska w nim młodość, siła i ochota...

Jakie też będzie śpiewał nam piosenki,
Tego nie wiemy i wiedzieć nie możem,
Lecz wiemy tylko, że w czasie wiosenki
Będzie wesoło na tym świecie Bożem,
A potem lato i jesień i zima,
Jak w życiu człeka: było, jest i niema...

Och! śpiewaj, śpiewaj nam roczku kochany:
Uśmierz nam bóle, daj jakąś nadzieję,
Zaródź też nasze żyzne polskie łany,
Niechaj się każdy nie smuci, lecz śmieje,
Jak ten kwiatuszek na polu śród zboża,
Lub ta dziewczyna w wiośnie życia hoża!

Sto lat już mija, jak polskie legiony
Za orłem Francyi podążały szlaki,
Który zapuścił wszędzie swe zagony
I Moskwę stoczyć chciał swymi wojaki —
Na nic Twe, Polsko, nadzieje się zdały,
Choć z trudów wojny rany krwią ściekały...

Za pomoc daną cóżeś otrzymała,
Krom tych blizn, bolów — zwodniczej nadziei,
Jaka na polu chwały Cię owiała
I zaginęła w śnieżystej zawiei —
Bóg skarał pychy złość Napoleona,
A Twoja pomoc wśród swojego grona!

Żali te czyny nasze zaginęły,
Żeśmy krwi swojej przelewali rzeki,
Chociaż te sprawy smutny koniec wzięły,
Bóg nas pozornie wypuścił z opieki?!
O! nigdy Polak tak sądzić nie może,
Jeszcze nam jasne zaświtają zorze!...

Sto lat minęło pracy, krwi i trudów!
Pracujmy dalej, chociaż burza huczy;
Idźmy w oświacie śladem innych ludów,
Niechże się Polak dobrego nauczy —
A wtedy przyjdzie — przyjdzie rok wojenny,
„Ów rok“ nasz sławny, w nadzieję brzemienny!...

Adam Jesionek.



BEREZYNA.

Powieść historyczna z r. 1812.

I. Pod Gdańskiem.

Na szarą nizinę Żuław*) sieje nieprzerwanie drobny, wiosenny deszcz. Przez mglistą przesłonę przezierają dokoła barwy zblakłe, spłowiałe, nie nasycone jeszcze żywymi sokami wiosny. Środkiem równiny toczy Wisła mętne swoje nurty, nabrzmiałe przypływem wiosennych wód.

Hen, hen, skróś widnokręgu odkosem jednostajnym zalegają bezpłodne piaski pustynnego wybrzeża, gdzie siwe fale bursztynorodnego Bałtyku płaszczą się i wyginają ze szmerem wiekuistym. Bliżej płaska okolica, zryta doszczętnie podkopami ziemnymi, wygląda jak olbrzymie kretowisko, otaczające zewsząd czworobok potężnej warowni. Marszałek Lefebvre, na czele 10 korpusu armii, oblega Gdańsk i otoczył zawartych w nim Prusaków pierścieniem nieprzerwanym stanowisk oblężniczych i redut. Szereg groźnych bateryi, najeżonych paszczami dział, ciągnie się wzdłuż wybrzeży, gotów w każdej chwili omotać koryto rzeki taśmami żywego ognia.

Dywizya Dąbrowskiego, wchodząca w skład armii oblężniczej, rozmieszczona była częściami po wszystkich dywizyach korpusu 10. Główne jej siły tymi czasy były skupione w stronie południowo-zachodniej, naprzeciw t. zw. Gradowej Góry, gdzie były prowadzone daleko idące podkopy.

Po szeregu potyczek w ostatnich dniach marca Prusacy opuścili stanowisko Heuboden, które zajął natychmiast batalion polskiego pułku 4 (późniejszego 12). Dnia 29 marca, w Wielką Sobotę, oddział ów otrzymał nowe przeznaczenie. Chodziło mianowicie o dopomożenie saperom**) w ich pracach, podjętych około wzniesienia reduty naprzeciw cypla wyspy Holm, w pobliżu ujścia Wisły do morza.

Trzy kompanie udały się niezwłocznie we wskazanym kierunku, późnym wieczorem, aby nie obudzać czujności nieprzyjaciela. Wiedli oficerowie inżynieryi, którzy w następujący sposób zorganizowali cały pochód; oddział rozbito na roty, po trzech żołnierzy w każdej. Dwaj z nich nieśli kosz, trzymając go za koniec, trzeci niósł broń wszystkich oraz trzy łopaty dla siebie i dla swych towarzyszów.

Pochód ruszył w największej ciszy, w mroku chmurnej nocy. Siał deszcz drobny, lecz dokuczliwy. Oddział posuwał się spiesznie, w kierunku niewiadomym, otoczony ciemnością niezgruntowaną. Marsz zdawał się przedłużać w nieskończoność. Nareszcie pierwszy szereg zatrzymano. Oficer inżynieryi krokami rozmierzył przestrzeń. Następnie ustawił roty w równej odległości jednę od drugiej, formując obszerny kwadrat, zwrócony jednym kątem ku Wiśle, której plusk dawał się słyszeć wśród ciszy nocy.

Żołnierze rozebrali pomiędzy siebie rydle i ustawiwszy przed sobą kosze, w największem milczeniu, co tchu jęli zasypywać je ziemią, tworząc zasłonę od strzałów nieprzyjacielskich. Spieszna, niezmordowana robota trwała jakiś czas, nie dając o sobie wiedzieć najlżejszym szelestem. Żołnierze, zgięci nad pracą forsowną, starali się stłumić głośniejszy oddech piersi spracowanych. Młodzi oficerowie najbliższym rzucali słowa komendy i zachęty szeptem tłumionym. Jedynymi głosami, zwiastującymi ruch i życie śród tych grubych ciemności był plusk monotonny za tamą fali wiślanej, oraz odległy, głęboki pomruk burzącego się w dali niewiadomej morza. Robota przygodnych saperów posuwała się wartko, gdy, w jakiejś chwili, czyjś nieostrożny rydel dźwięknął dość głośno, snać natrafiwszy w ziemi na kamień. Porucznik Zbrożek, który się znajdował najbliżej, zaklął zcicha i posunał się w tamtym kierunku, aby skarcić winowajcę. Zanim odnalazł sprawcę hałasu, nowy dźwięk rydla, głośniejszy niż poprzednio, rozległ się w innej stronie. Porucznik syknął, i zacisnąwszy zęby zataił dech. Serce załomotało mu w żebra w struchlałem oczekiwaniu. — Trwało to jeden moment. Z mrocznej głębi nocy ozwał się wrzaskliwy okrzyk ockniętych szyldwachów.

— *Wer da?*

Moment ciszy — i nagle runęło echo strzałów karabinowych, danych na oślep. Słychać było, jak kopnęły się szyldwachy pruskie, uciekając ku swoim przed niewiadomem niebezpieczeństwem. Jeden z nich, zmyliwszy w ciemności drogę, wpadł na linię kopiących, prosto w ręce żołnierzy polskich.

— Wnet będziemy wykryci — rzekł kapitan Białkowski. — Odtąd już ostrożność niepotrzebna. Teraz, wiara do roboty, co sił starczy. Motykę w garść i wkopuj się, co tchu w piersi.

Rydle uderzyły w ziemię z mocą zdwojoną. Robota zawrzała tem spieszniej, że nie krępowana już więcej względami ostrożności.

W jakiejś chwili świetlista rysa rozjaśniła mroczny firmament nocnego nieba. Z twierdzy wyleciała kula ognista i zakreślając płomienny łuk na sklepieniu, zgasła, jak gwiazda w przelocie, wejrzawszy przez moment krwawem okiem w głąb ciemnej nocy.

— Zaczynają wyrzucać *leichtkugle*,*) aby nas wytropić — odezwał się któryś z poruczników.

— Będzie nam tu wnet gorąco — przemówił inny. — Patrzcie, oto druga, trzecia...

Z twierdzy wylatywały teraz jedna za drugą kule świecące, w różnych kierunkach, czyniąc zdala złudzenie efektownego, nieszkodliwego fajerwerku. Grube opony ciemności rozdzierały się tu i owdzie na moment, na krótką chwilę ich płomienistego przelotu. Robota około pogłębienia fosy wrzała z pośpiechem gorączkowym. Nie łudzono się, że lada moment cały teren robót saperskich będzie wykryty przez nieprzyjaciela. — Groziła obawa wycieczki z twierdzy.

— Plutony parzyste pod broń! — zabrzmiała komenda kapitana Białkowskiego.

Część żołnierzy porzuciła rydle i chwyciwszy za broń, stanęła w szeregi, wówczas, gdy ich towarzysze, zgięci we dwoje, ryli się dalej uporczywie w ziemi jak krety.

Naraz łoskot działowej salwy runął w ciszę nocy. Granatniki Gdańska żygnęły żelazem w kierunku wyśledzonego okopu. Grad śmiercionośnych pocisków ze świstem przeleciał ponad terenem.

— Do fosy — zagrzmiała komenda oficerów.

Na szczęście, rów był już wykopany do takiej głębokości, że mógł służyć za dostateczne ukrycie dla żołnierzy. W tym naprędce usypanym szańcu, poza osłoną wypełnionych ziemią koszów, można się było czuć jako tako bezpiecznym. Granaty**) ryły dokoła powierzchnię ziemi, przelatywały, gwiżdżąc złowieszczo, ponad okopem, z piekielnym hukiem pękały, jednak, jakby za sprawą cudu, nikt nietylko nie był zabity, lecz nawet najlżejszego draśnięcia nie otrzymał.

*) Żuławami nazywa się płaski kraj na wybrzeżu Bałtyku, w Prusiech wschodnich i zachodnich.

**) Saperami nazywało się wojsko, budujące drogi, mosty itp., dzisiejsi pionierzy.

*) Lekkie pociski, palące się w powietrzu i rozświecające ciemności.

**) Granat, pocisk armatni, pękający po uderzeniu o ziemię.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Błogosławieni.

Zamilkły ptaki na polu i w sadzie,
Pod białym śniegiem śpi stubarwny kwiat,
Jakiś się dziwny smutek wszędzie kładzie,
Dziwna ponurość otacza ten świat.

Las się przystroił w zadumę głęboką,
Okiść śnieżysta skryła brzegi skał,
Strumień utulon pod lodu powłoką,
Ucichł, jakgdyby snem grobowym spał.



I zewsząd dziwny jakiś smutek wionie,
Od pól, od lasów, strumieni i rzek;
A za przyrodą swe rozpaczne dłonie
Z smutkiem wyciąga każdy... każdy człek.

Bo któż szczęśliwy dzisiaj na tym świecie?
Kto z życia swego jest zupełnie rad?
Każdego jakaś dziwna troska gniecie,
W myślach się gnieździ jakiś zwątpień gad.

My tylko w smutkach różnimy się z sobą,
Ale ich każdy ma ogromną moc,
A każdy duszę okrywa żałobą
I z błysków słońca stwarza ciemną noc!...

I tak nad wszystkiem zawisła złowroga
Jakaś ponurość, że aż bierze lęk
Popatrzeć w przyszłość, bo rozpacz i trwoga
Gotowe z piersi wyrwać krwawy jęk...

Lecz cóż to? jakaś dziwna jasność w dali?
Pożar to czyli blaski jasnych zórz?
Tak się w obłokach perli i kryształi,
Jak toń przeczysta niezgłębionych mórz?

A wśród jasności hymn niebiański płynie
I swoją siłą przenika ten świat...
To pieśń pokoju! Przy Bożej Dziecinie
Śpiewa ją nieba najpiękniejszy kwiat.

A Jezus, rączkę podniósłszy ku górze,
Zsyła na świat ten błogosławieństw zdrój
Ludziom, zwierzętom i całej naturze,
Śląc uśmiech wszędzie Przenajświętszy swój...

Błogosławieństwu pieśń wtóruje wielka:
Śpiewa ją cały niebios jasny chór...
Przed pieśnią niknie ból i rozpacz wszelka
A pieśń dociera do niw, chat i gór...

„Błogosławieni cisi i strapieni
„Pędzący żywot wśród ciernistych dróg,
„Albowiem oni będą pocieszeni,
„Gdyż dla nich niebo przygotował Bóg.

„Błogosławieni, których rozpacz miota
„Krwawiąca serce, okrutna i zła,
„Których pożera bezbrzeżna tęsknota,
„Bo tym Królestwo Jezus swoje da!

„Błogosławieni, ci co w poniewierce
„Zmuszeni teraz na świecie tym żyć,
„Ci co smutkami pokrwawili serce,
„Bo oni w niebie z Bogiem muszą być".

Pieśń taka płynie a z dźwiękiem tej pieśni
Jaśniej się robi wśród życiowych dróg,
Bo ból przeminie i życie się prześni
Milej, gdy z nami jest Pan nasz i Bóg.

Antoni St. Bassara.

O sprawie robotników rolnych.

Kraj nasz każdego roku opuszczają dziesiątki tysięcy robotników rolnych, wędrując na roboty do Prus, aby pracą swoją zbogacić tych, którzy są największymi wrogami naszej narodowości, a braciom naszym w Poznańskiem pragną przemocą wydrzeć ojczystą mowę i ziemię, po praojcach odziedziczoną. Z tych dziesiątek tysięcy wiejskich robotników naszych, wędrujących do Prus na zarobki, nie wszyscy wracają do domu zadowoleni i z zaoszczędzonym groszem. Przeciwnie, coraz częściej słyszeć można od nich gorzkie skargi na doznany na obczyźnie zawód: niesumienna wypłata, brutalne traktowanie, lekceważenie godności naszych robotników ze strony prusktch pracodawców, stronne postępowanie władz pruskich powodują te skargi, których gromkie echa świeżo skłoniły Koło polskie do wniesienia w tej sprawie interpelacyi w parlamencie wiedeńskim.

Utarło się zdanie, iż przyczyna wychodźtwa sezonowego do Prus polega na braku pracy w kraju i niskich zarobkach, jakie rolnictwo nasze przynosi robotnikom. Zdanie to w znacznej mierze jest słuszne, ale przyznać trzeba, że w ostatnich czasach nastąpiła znaczna poprawa stosunków pod tym względem. O pracę w kraju obecnie coraz łatwiej i jeśli jedne powiaty wykazują jeszcze nadmiar robotnika, to za to w innych okolicach odczuwa się już wielki brak rąk roboczych, wskutek czego są tam też zarobki odpowiednio wysokie, a pracodawcy okazują skłonność do rozmaitych ustępstw na korzyść najmitów. Wychodźtwo więc do Prus byłoby bezwarunkowo znacznie mniejsze, gdyby istniała prawidłowa organizacya pośrednictwa pracy.

Takiemu stanowi rzeczy postanowiło zaradzić Polskie Towarzystwo Emigracyjne w Krakowie. Zaprosiło ono na wspólną konferencyę delegatów wszystkich ważniejszych krajowych Towarzystw rolniczych. Na zebraniu tem dyr. Okołowicz oświadczył przedstawicielom ziemian, iż P. T. E. pragnie zająć się pośrednictwem pracy wewnątrz kraju, ale stawia za warunek, że ułożony i przyjęty zostanie wzorowy kontrakt, który zabezpieczy robotnikom większe zarobki oraz dłuższy okres trwania robót sezonowych.

Znamy już wielu takich robotników — mówił dyr. Okołowicz — którym rzetelnie sprzykrzyła się służba u Prusaka i poniewierka wśród obcych i którzy woleliby pracować wśród swoich i dla swoich. Ofiarujcie im tylko, panowie, wyższą zapłatę i lepsze mieszkanie, poprawcie ordynaryę i zgódźcie się na kontrakt, któryby jasno określał wzajemny stosunek, decydujcie się zgodzić na wczesną wiosnę, już w marcu i zatrudniać do grudnia, poczyńcie wszystkie możliwe ustępstwa, a nasza młoda instytucya, dla dobra tych wędrownych robotników utworzona, ręczy Wam, że ich będziecie mieli dość do pracy na swych łanach«.

Propozycye te Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego spotkały się z jednomyślnem uznaniem zgromadzonych delegatów organizacyj rolniczych. Po długich naradach ułożono kontrakt najmu dla robotników sezonowych, którego wszystkie warunki a więc także płaca i ordynarya — nie są ani na włos gorsze, a nawet pod niektórymi względami są lepsze od warunków, na jakich godzą się nasi robobotnicy rolni na Morawy, do Czech, na Śląsk i t. d.

Uchwalono, by okres pracy możliwie przedłużyć tak, aby rozpoczynał się już w początkach marca, a kończył dopiero około 15 grudnia, przezco robotnik będzie miał możność dłużej zarobkować.

Zgodzono się też na zaprowadzenie osobnych książek wypłat dla robotników oraz na korzystanie z pośrednictwa P. T. E. dla polubownego załatwienia drobnych nieporozumień między robotnikiem a pracodawcą. Nadto ułożono także wzór kontraktu dla rocznej służby folwarcznej, znamionujący znaczną poprawę warunków w porównaniu z dotychczasowemi.

Wreszcie uchwalono wezwać Polskie Towarzystwo Emigracyjne, aby zajęło się pośrednictwem robotników rolnych dla pracodawców krajowych, a wszystkie organizacye rolnicze, aby skłoniły swych członków dla korzystania z tego pośrednictwa i stosowania się do ułożonych warunków.

Polskie Towarzystwo Emigracyjne spełniło swój obywatelski obowiązek, poruszając tę tak bardzo ważną tak dla robotników jak i dla krajowego rolnictwa sprawę. Aby jednak działalność Towarzystwa w tym kierunku przynieść mogła pożądane rezultaty, trzeba, aby dowiedziały się o niej i skorzystały z niej największe rzesze naszych robotników wiejskich. Dlatego o tem piszemy.



Cudowna muszla.

W pewnej wsi żył stary gospodarz, któremu nic się nie wiodło, gdyż miał bardzo złego sąsiada, co mu wszystko psuł.

Postanowił więc pójść w świat! Wziął z sobą placek i poszedł.

Idąc tak, zeszedł się z prześlicznym chłopcem. Szli sobie obaj aż do wsi, gdzie siedli na wale. Gospodarz ów podzielił się z chłopcem plackiem. Chłopiec ów miał muszlę, a z tej muszli, jak kto umiał, to wydobył przecudny srebrzysty głos, a jak zagrał na niej srebrzystym głosem, to co sobie wtenczas życzył od Boga, to dostał. Chłopiec ów nauczył gospodarza na niej grać, dał mu ją i kazał mu się wrócić do domu.

Od tego czasu, dzięki tej muszli, wszystko mu się wiodło, jak z płatka.

Gdy się o tem dowiedział zły sąsiad, wkradł się do jego domu w nocy i skradł mu tę muszlę. Lecz bardzo się oszukał na tem, gdyż z niej srebrzystego głosu nie wydostał, z czego bardzo się smucił po stracie tak drogiej dla niego rzeczy.

Właściciel owej muszli domyślił się, kto mu muszlę ukradł i prosił sąsiada, ażeby mu ją oddał.

— Oddam ci ją — rzekł sąsiad — ale pod tym warunkiem, że jak ty będziesz sobie prosił o jedno, to żeby ja dostał dwa.

Gospodarz nie chciał się zgodzić na to, ale wkońcu przystał. Od tego czasu, sam był bogaty, ale jego zły sąsiad był dwa razy bogatszym. Gospodarz zły był bardzo na swego sąsiada, że się tak bogaci jego pracą, więc postanowił to skończyć tylko się sposobność nadarzy. Jakoś prędko się nadarzyła. Gdy szli obaj przez bagno wąską kładką i byli już na środku kładki, wtenczas gospodarz dobył muszlę, zagrał na niem głosem srebrzystym i zawołał:

— O wielki Boże! weź mi jedno oko!

W tej chwili nie miał jednego oka, a jego zły sąsiad obydwu. Zaraz się zatoczył i wpadł w bagno. Tak się pozbył gospodarz złego sąsiada.

Franciszek Gruszka.

Noworoczna modlitwa.

Ach, Boże jedyny!
Wieczności krainy
Zabrały na zawsze rok stary —
A nowy nam świta,
Co każdy go wita
Tak pełen otuchy i wiary.
Lecz czyliż, o Boże!
Przyszłości swej morze
Kto zgłębi — co w Twojej jest dłoni?
Więc z serca, o Panie,
Zanosim błaganie:
„Niech łaska nas święta osłoni!“

Nieszczęścia nas mnogie
I kary dość srogie
Za winy nas często smagały —
My cierpieć umiemy,
Lecz, Boże, prosimy:
„O ukróć ich szereg niemały!“
Niech dobroć Twa, Boże,
Nas wszędzie wspomoże,
I w domu — przy pracy — na łanie,
Błogosław łaskawie
Uczciwej wszej sprawie,
Ojcowską Swą dłonią, o Panie!
Z umysłu świata
Ciemności niech zmiata,
I duszę niech zbliża ku Tobie —

Niech spokój i zgoda
Dobrobyt, swoboda
Rozkwita w miłości osobie!
Łez, klęski godzinę,
Na naszą krainę
I na nas każdego — gdy czeka,
O, dobry nasz Boże,
Jeżeli być może...
To pokaż nam tylko zdaleka!
To prośby, o Boże,
Co dzisiaj w pokorze
Składamy przed Twojem obliczem,
Lecz wola Twa, Panie,
Niech zawsze się stanie...
Bo tylkośmy prochem i niczem!

Franciszek Marzec.

Z czasów furmanek.

(Opowiadanie dziadunia).

Stary Maciej, siadłszy w zimowy wieczór na ławie obok pieca, mówi do dzieci:

— Cicho bądźcie, opowiem wam przygodę z czasów, kiedy to nie było kolei, a wszelkie towary wozili ludzie wozami. Ja sam jeździł na furmankę, gdy byłem młody, bo grosza trza było. Różnie bywało; namęczył się człek, gdy wóz ugrzązł w błocie, że kół nie było widać. Jeden sam nie jechał, bo by zamarzł. Ja sam raz byłbym zamarzł, gdyż nie spałem kilka nocy, więc spać okropnie mi się chciało. Szedłem koło koni i upadłem na kupę kamieni a konie poszły same i gdyby nie furmani, co z tyłu jechali, którzy mnie obudzili, byłbym zamarzł, bo to było w zimie. Nieraz znowu napadali na takich furmanów zbóje, zabili furmana a konie z towarem wzięli. Trzeba było zawsze mieć się na baczności i wystrzegać się dziadów, bo to byli zbóje przebrani.



— Raz się tak wydarzyło — ciągnął dalej dziadunio — jechali furmani i wieźli sól z Wieliczki. Jechali przez las. Siedział tam dziad bez nóg i prosił furmanów, by go wzięli. Ale chłopi byli mądrzy, nie wziął go żaden, choć prosił wszystkich po kolei. Aż ten, co jechał na samym tyle, wstrzymał konie, zlazł z wozu, wziął dziada, posadził go w tyle, sam siadł na przodzie i jedzie. A było to pod górę. Drudzy mieli lepsze konie, więc już byli za górą, że ich nie było widać. Ten dziad miał przy sobie siekierę, wyjął ją z pod pazuchy i uderzywszy w głowę tego furmana, zabił go odrazu. Wziął potem lice w rękę, trupa z wozu zaraz zrzucił, konie zawrócił w przeciwną stronę i pojechał. Ci co naprzód jechali oglądają się, a tamtego nie widać. Jakoś się zlękli i mówią:

— Trzeba pójść się popatrzyć, co mu się stało. Poodpinali konie, posiadali i pojechali szukać tamtego. Wyjechali na górę, patrzą, a tamten wóz już daleko pojechał w przeciwną stronę. Podcięli więc konie i jakoś dognali tego dziada. Zdjęli go zaraz z wozu, położyli na brzegu rowu, zbili go na kwaśne jabłko i zostawili w lesie. Tego furmana zabitego włożyli na wóz i odwieźli do domu. Zamiast zarobku miała żona smutek i pogrzeb.

— Strasznie się działo — opowiadał dziadunio dalej. — Raz ja sam ledwo uszedłem śmierci. Pojechałem po węgiel sam jeden i wstąpiłem do karczmy napić się wódki i co zjeść. Wchodzę do karczmy, siedzi jakiś chłop, pije wódkę. Skoro ja wszedł, on zaraz wstał i poszedł. Ja wtedy mówię do żydów:

— A ten człowiek czemu nie płacił nic?

— To jest taki wędrowny — odparł żyd — on tak robi, jak jest dobry to zapłaci, a jak zły to nic, o tak jak teraz, a jakbym się dopomniał, toby mię zaraz zabił, to taki człowiek.

Kazałem sobie dać zjeść i wypić, zapłaciłem i poszedłem na wóz, mając się teraz już na ostrożności, bo o nieszczęście nie trudno; położyłem moją siekierę koło siebie, bo kto jechał na furmankę, to ją musiał mieć, i jadę pomału. Tylko żem wjechał w las, bo mi tak wypadało jechać, a lasów było wiele, nie tak jak dziś, patrzę, wychodzi ten sam z pałką i idzie wprost do mnie do woza; jak już był blisko, ja się tak zwinął ze swoją siekierą i takem go poczęstował, że ten zaraz upadł na ziemię zabity. Potem myślę sobie: Tak trupa nie zostawię i nie namyślając się, zlazłem z wozu, wziąłem tego trupa zaniosłem w las i tam była na szczęście taka wertepa, do której go wrzuciłem, przykryłem chrustem i liściem, siadłem na wóz i pojechałem dalej. Jakoś aż za rok znowu mi się trafiło do tego samego miejsca jechać. Wstąpiłem tak samo do tej karczmy, siadłem za stołem a o tem zapomniałem już. Skoro tylko siadłem, żyd zaraz zaczął, jak on to umie, to z tej to z owej strony mi się przyglądać, nawet mi nie dał tego, com zamówił jeść. Ja zadziwiłem się i mówię do niego:

— Czego chcesz? nie widziałeś człowieka?

— Ano ta wy już dawno tu byli — mówi żyd.

— Tu w tych stronach nie byłem.

— Ta już rok, jak wy tu byli. Nu i od tego czasu tego wędrownego, co tu był, niema.

— Może umarł?

— E, ni, jegi ktoś sprzątał.

— Ja go nigdzie nie widział i nie sprzątał go.

— Nu, ja nie mówię, że to wy. Ale się posmarował ten, co go zabił, posmarował!

— Toże on łoju nie miał — mówię, śmiejąc się.

— E, łoju ni, tylko on miał taki pas a naokoło niego kalitki z pieniądzmi.

— Daj mi spokój — ja na to — dawaj jeść.

Rzekłszy to, zjadłem, zapłaciłem i pojechałem. Gdym przyjechał do lasu i domyślając się. że to tu ten zabity, zatrzymałem konie, skoczyłem do lasu i właśnie trafiłem w to samo miejsce. Odgrzebałem go, już gnił, odpiąłem płaszcz i akurat był taki pas z pieniądzmi, jak mówił żyd. Od tego czasu już na furmankę nie jeździłem. ***L. J. K.***

Wynik konkursów „Roli".

Jak wiadomo, w kalendarzu »Roli« na r. 1911 ogłosiliśmy cztery konkursy, aby nawiązać bliższe stosunki z Czytelnikami i zachęcić ich do udziału w szerzeniu oświaty. Wezwanie nasze odniosło pożądany skutek, gdyż prac najróżnorodniejszych wpłynęła bardzo wielka liczba, tak, żeśmy ich nie mogli wszystkich wydrukować w ciągu roku 1911, ani też pomieścić w kalendarzu »Roli« na rok 1912. Wiele z nich zostało na rok 1912 i te będziemy w miarę miejsca drukowali.

Chcąc, aby nowe siły wyrabiały się na łamach »Roli«, musieliśmy z konkursów wyłączyć znanych, oddawna piszących autorów, jak: Jacka Obrochtę, Ferdynanda Kurasia, Jantka z Bugaja i Roberta Rydza, gdyż im przedewszystkiem musiałyby były przypaść nagrody za wiersze, wobec czego zaczynający dopiero na tem polu nie mogliby współzawodniczyć.

Po takiem załatwieniu sprawy zbadaliśmy i ocenili nadesłane prace bez względu, czy były drukowane w »Roli« w ubiegłym roku lub w kalendarzu na rok 1912, czy też jeszcze znajdują się w tece redakcyjnej i przyznaliśmy nagrody, jak następuje:

I. Konkurs na wiersz:

1) **Adam Jesionek:** *Antologia poetów polskich* Władysława Bełzy (10 kor.).

2) **Józef Jarmuła:** *Antologię współczesnych poetów polskich* K. Królińskiego (6 kor.).

3) **Arkadyusz Szarek, Stefania Szybowiczówna, Wawrzyniec Pietrucha:** Oprawny rocznik »Roli« z r. 1910.

II. Konkurs wesołych ludzi:

1) **Karol Powroźniak:** *Ofiara Mszy św.* (14 kor.).

2) **Piotr Lipowiak:** *Z lat nadziei i walki* B. J. Anca (4 kor.)

3) **Michał Wojnarowicz, Władysław Wołowiec:** Opr. roczniki »Roli« z roku 1910.

III. Konkursu na powiastkę;

1) **Piotr Kędzierski:** *Encyklopedya Macierzy Polskiej* (10 kor.).

2) **Michał Mikos:** *Na polu chwały* H. Sienkiewicza (6 kor.).

3) **Teofil Tryczyński:** Oprawny rocznik »Roli« z roku 1910.

4) **Andrzej Wróbel:** Opr. rocznik »Roli« z r. 1910.

IV. Z konkursu korespondentów:

1) **Józef Kobylański:** *Album królów polskich* Jana Matejki (12 kor.).

2) **Franciszek Kellner:** *Malowniczy opis Polski* (5 koron).

3) **Zygmunt Bogdański, Kazimierz Tokarski, Wojciech Tylka:** Oprawny rocznik »Roli« z r. 1910.

Przy rozsądzaniu IV konkursu braliśmy pod uwagę najlepiej pisane, a poza tem tych korespondentów, którzy najwięcej nadesłali korespondencyi, nadających się do druku. Z nagrodzonych nadesłali: p. Kobylański 36, p. Kellner 28, p. Bogdański 13, p. Tokarski 19, p. Tylka 12.

Zwracamy uwagę naszych Czytelników, że na rok 1912 rozpisaliśmy znowu konkursy i wzywamy wszystkich do gorliwego udziału. Warunki ogłosiliśmy w naszym kalendarzu na rok 1912.

Czy może być dla człowieka światłego milsze uczucie nad tę myśl, że jego słowa rozchodzą się drukiem pomiędzy dziesiątki tysięcy ludzi, że pobudzają do myślenia, szerzą oświatę, przynoszą naszym braciom bliźnim rozrywkę i pożytek? Zaprawdę, nie masz lepszego spędzenia czasu po ciężkiej pracy, jak zasiąść do stolika i kreślić na papierze swe myśli! Należy tylko dobrze przedtem rozważyć, ułożyć sobie w głowie, co i jak pisać się zamierza a starać się pisać jak najlepiej, to znaczy tak, aby ani jednego słowa nie było do zmienienia, ani jednego do dodania lub ujęcia.

A zatem do pracy pożytecznej i miłej, Drodzy nasi Przyjaciele i Czytelnicy, a my za rok damy Wam najpiękniejsze nagrody i najwięcej, ile tylko będziemy mogli!

Dodajemy, że do druku pisze się tylko na jednej stronie papieru, a drugą zostawia się próżną.

Nie masz chłopu nad sukmanę!



A czy wiesz ty, chłopie miły,
Jak to ongiś pod Kościuszką
Dziady twoje Moskwę biły,
Aż stękała za poduszką!

A czy wiesz ty, jakie bronie
Uświęciły Racławice
— Zaciśnięte w twarde dłonie
Śmigłe kosy i kłonice.

A czy wiesz ty, w jakim stroju
Ci przesławni szli włościanie
Z raźną śpiewką na plac boju?
— Ma się wiedzieć, że w sukmanie!
Więc w sukmanie — chłopie widzisz!
A czy teraz strój twój taki?
Ty sukmany dziś się wstydzisz,
W szwabskie strojąc się kubraki...

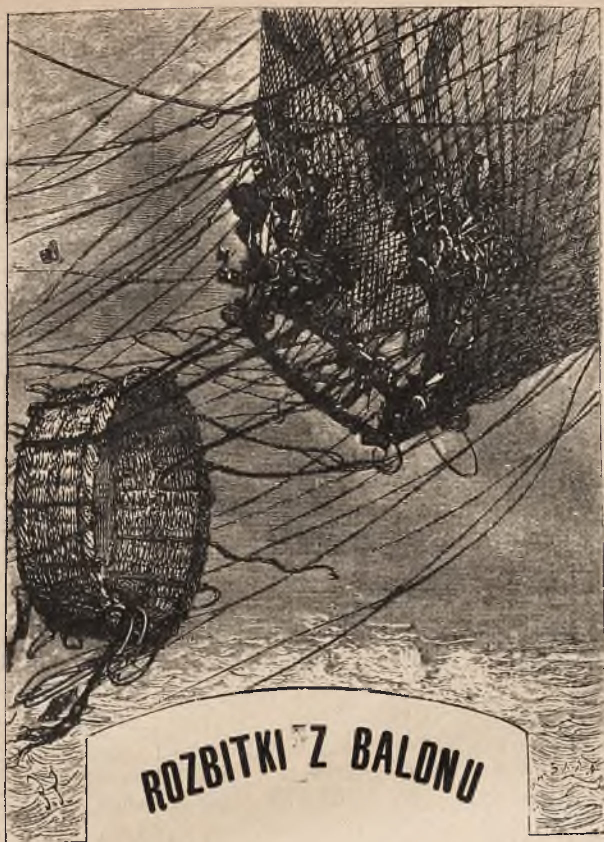
Gdy więc tamci za wrogami
Kopnęli się w żwawe susy,
Wydawali się orłami, —
Tyś w kubraku jak bies kusy.

Wstydź się chłopie małpowania
Szpetnych strojów twoich wrogów,
Byś nie doznał pokarania
Za sławienie cudzych bogów!

Nie masz stroju nad sukmanę —
Nad zabawkę nie masz kosy, —
Kto tu wnosi szwabską zmianę —
Nie dla niego polskie kłosy!

Hej wy hoże wiejskie dziewki!
Jeśli macie bodaj trocha
Względu dla mej biednej śpiewki,
I która z was nie jest płocha,
I która ma Boga w sercu
I usłużność dla rodaka —
U ołtarza na kobiercu
Niech nie idzie za „kusaka"!
Lecz wychodzić za takiego,
Co sukmaną zwykł się chlubić, —
Bo — dopóki życia mego —
Inaczej was nie chcę lubić.

Ferdynand Kuraś.



ROZDZIAŁ I.

Huragan w roku 1865. — Krzyk w powietrzu. — Naokoło tylko morze. — Pięciu pasażerów. — Co się działo w łódce.

— Czy się wznosimy wyżej?
— Przeciwnie, balon się obniża!
— Obniża i grozi upadkiem, panie Cyrusie!
— Wyrzućcie jak najprędzej balast!
— Wypróżniliśmy już ostatni worek.
— Słyszę jakby pluskanie wody.
— Balon unosi się nad morzem!

Silny głos w powietrzu zawołał słowa:

— Wyrzucić wszystko, co tylko ma jakąkolwiek wagę! wszystko bez wyjątku, i niech się dzieje wola Boża!

Rozkaz ten zabrzmiał ponad niezmiernym obszarem spienionych fal oceanu Spokojnego dnia 23 marca 1865 roku, około godziny 4 wieczorem. — W owym roku zerwał się straszny huragan, trwający bez przerwy od 18 do 26 marca. Pamiętne są okropne spustoszenia, jakich dokonał wtedy w Ameryce, Azyi i Europie. Miasta całe obrócone w perzynę, poniszczone lasy, których drzewa powyrywał z korzeniem, ogromne przestrzenie zalane wodą, okręty rozbite, tysiące osób zabitych na miejscu lub porwanych przez trąbę i rzuconych w morze — oto jakie były skutki przejścia rozszalałego huraganu.

Balon, uniesiony jak kula na sam wierzchołek trąby i pochwycony kołowym wirem słupa powietrza, leciał w przestrzeni, jakby nadprzyrodzoną unoszony siłą. Pod tym balonem zawieszona była łódka, zawierająca pięciu ludzi. Z jakichże stron świata przybywał ten balon, będący teraz tak strasznej burzy igrzyskiem? Boć przecie niepodobna, aby go puszczono podczas rozszalałego huraganu.

Sami jadący nim nie wiedzieli, jak daleką przebyli drogę. Co więcej, porwani burzą nie czuli przecież jej gwałtowności; obracali się wkoło, nie wiedząc o tem; oczy ich nie mogły przebić gęstej mgły, otaczającej łódkę i tak zasłaniającej wszystko dokoła, iż nie wiedzieli nawet, czy jest dzień, czy noc zapadła. Dopiero gdy balon nagle opadać zaczął, mogli poznać grożące im niebezpieczeństwo, dostrzegając, że znajdują się ponad morskiemi falami. Uwolniony z ciężkich przedmiotów, to jest broni, nabojów i innych zapasów, balon wzniósł się w wyższe sfery powietrza, na wysokości 4.500 stóp. Widząc, że pod łódką pienią się morskie bałwany, zrozumieli, że w górze mniejsze grozi im niebezpieczeństwo i bez wahania pozbywali się najpotrzebniejszych przedmiotów, byle ocalić łódkę, będącą dla nich zbawieniem.

Noc przebyli wśród strasznego niepokoju, który mógłby stać się zabójczym dla mniej odważnych i wytrwałych; nadedniem huragan zaczął nieco słabnąć, nareszcie ustał zupełnie. Około jedenastej niższe warstwy powietrza znacznie się oczyściły; mgła podniosła się w górę, lecz jednocześnie można było poznać, że balon zwolna opuszczał się ku dołowi. Około południa wznosił się już tylko o 2000 stóp ponad morzem. W tej chwili podróżni zaczęli wyrzucać zapasy żywności i nawet drobne przedmioty, jakie mieli w kieszeniach: widocznie coraz więcej brakowało gazu; niebezpieczeństwo zwiększało się z każdą chwilą.

Straszne było położenie podróżników! Gaz uchodził raptownie, balon rozdarł się nieco i opadał, a o godzinie pierwszej łódka była co najwyżej o 600 stóp nad powierzchnią morza. Niepodobna było uniknąć strasznej katastrofy, jeżeli przed nadejściem nocy nie dojrzą gdzie ziemi.

Ale znajdujący się w łódce balonowej, byli to ludzie energiczni, nie lękający się śmierci; ani jedna skarga z ust ich nie wyszła, postanowili jednak ratować się do ostatka. Łódka, był to prosty kosz, upleciony z łoziny, nie mogłaby więc w żaden sposób utrzymać się na powierzchni wody; gdy już obniżyła się o 400 zaledwie stóp nad morzem, dał się słyszeć silny głos męski:

— Czy już wszystko wyrzucone?
— Nie, pozostało jeszcze 10.000 frank. w zł...
— Wrzucić w morze!

I ciężki worek spadł w otchłanie wód oceanu.

— Czy teraz balon idzie w górę?
— Cokolwiek, ale niebawem opadnie.
— Uchwyćmy się siatki, a łódkę rzucić w morze.

Rozkaz spełniono, był to ostatni środek ratunku. Teraz już tylko w miłosierdziu Bożem mogli pokładać nadzieję.

Wiadomo, że najmniejsze ulżenie ciężaru wywołuje zmianę w położeniu balonu. Chwilowo balon wznosił się dość wysoko, lecz że niepodobna było naprawić rozdarcia, nagle zaczął opadać. Wtem dało się słyszeć głośne szczekanie Topa. Był to ulubiony pies jednego z podróżników, który uczepił się sieci tuż obok swego pana.

— Top coś zobaczył — zawołał jeden.
— Ziemia! ziemia!

Ukazał się ląd dość wyniosły, odległy jednak jeszcze z jakie trzydzieści mil morskich.*) A czy przed upływem tego czasu balon nie postrada reszty gazu? Oto pytanie, jakie z przerażeniem stawiali sobie towarzysze niedoli.

Nie mogąc się utrzymać, balon dotykał już prawie powierzchni morza, unosząc się ciężko, jak ptak, któremuby ołów przyczepiono do skrzydeł. Przyczepieni do siatki pasażerowie, zbyt wielki dla niego stanowili ciężar i już dotykali powierzchni morza i czuli uderzenia spienionych bałwanów; wtem wiatr dostał się do wnętrza balonu i pędząc go, jakby okręt płynący z wiatrem, popychał ku wybrzeżu,

*) Mila morska ma 16 kilometrów.

które teraz już zaledwie o paręset sążni było odległe.

Wtem straszny krzyk wydarł się z czterech piersi i balon, który, jak się zdawało, nie może się już unieść, nagle podskoczył do góry, jakby wyrzucony siłą bałwanów i oswobodzony od znacznej części swego ciężaru. Podniósł się znów na 1500 stóp w przeciwnym od ziemi kierunku; lecz na tej wysokości wiatr popchnął go ukośnie i statek raptownie wstrząśnięty, opadł nareszcie na wybrzeże, gdzie nie dosięgały rozhukane fale.

Pomagając sobie wzajemnie, pasażerowie zdołali nareszcie wyplątać się z siatki. Oswobodzony od wszelkiego ciężaru balon, poleciał uniesiony wiatrem i znikł gdzieś w przestrzeni.

W łódce znajdowało się pięciu pasażerów i pies a czterej tylko zostali na brzeg wyrzuceni; widać brakujący wraz z wiernym psem swoim został uniesiony przez wzburzone fale, które, uderzając gwałtownie w siatkę, oderwały go od niej; a uwolniony od znacznej części ciężaru balon, wzniósł się po raz ostatni i w chwilę potem spadł na nieznane brzegi.

Zaledwie stanąwszy na lądzie, rozbitki postrzegli nieobecność współtowarzysza, wykrzyknęli:

— Pewnie próbuje przepłynić morze! ratujmy go! ratujmy! — i rzucili się na pomoc.

ROZDZIAŁ II.

Ustęp z ostatniej wojny amerykańskiej. — Inżynier Cyrus Smith. — Gedeon Spillet. — Murzyn Nab. — Marynarz Penkroff. — Młody Harbert. — Wzniesienie się podczas burzy.

Rozbitki, których huragan rzucił na wybrzeże, nie byli to żeglarze powietrzni z powołania, lecz więźniowie wojenni, którzy niezachwianą ożywieni odwagą, postanowili sobie i zdołali uciec tym niezwykłym sposobem. Uciekli z Richmondu w Ameryce północnej dnia 20 marca, pomimo, że miasto to oblężone było przez wojsko jenerała Ulissesa Granta i po pięciodniowej powietrznej żegludze, znajdowali się o 7000 mil. Oto w jakich okolicznościach więźniowie dokonali zamierzonej ucieczki.

W miesiącu lutym 1865 r. wielu z oficerów jenerała Granta dostało się do niewoli; zostali oni osadzeni w mieście. Najznakomitszym z nich był Cyrus Smith, oficer głównego sztabu Granta. Cyrus Smith był to bardzo uczony inżynier, któremu rząd Stanów Zjednoczonych powierzył podczas wojny kierunek i zarząd nad kolejami żelaznemi. Prawdziwy amerykanin północny, był on suchy, chudy, blady; miał około 45 lat, krótko ostrzyżone włosy, broda jego zaczynała już siwieć i tylko wąsy były gęste i zamaszyste. Rysy twarzy miał bardzo regularne, oczy pełne ognia i wyrazu, czoło wysokie i otwarte, słowem cała fizyognomia zdradzała uczonego i wojskowego.

Jednocześnie z Cyrusem Smithem dostała się w moc południowców druga, bardzo ważna osobistość, szanowny Gedeon Spillet, reporter*) gazety »New-York-Herald«, wysłany przez redaktora do armii północnej, dla donoszenia o wszystkiem, co się działo w obozie i na polu bitwy.

Gedeon Spillet należał do rzędu tych godnych podziwu kronikarzy angielskich i amerykańskich, którzy nie cofną się przed niczem, byle zdobyć dla swoich gazet dokładne i szczegółowe wiadomości, i to jak można najwcześniej.

Objechał on świat cały, wiele się nauczył, był żołnierzem i artystą; gorący na radzie, stanowczy w działaniu, nie liczył się z trudami, ani z niebezpieczeństwem, ilekroć chodziło o nauczenie się czegoś lub zasięgnięcie pewnych wiadomości dla swej gazety; był on jednym z tych korespondentów, co układają sprawozdania wśród gradu kul i grzmotu dział. Był obecny przy wszystkich potyczkach, wysunięty naprzód, w jednej ręce trzymał rewolwer, a w drugiej notesik i nie zadrżały mu one wśród największego ognia. Był wysokiego wzrostu, miał około czterdziestu lat wieku i nosił duże rudawe bokobrody.

Cyrus Smith i Gedeon Spillet, przed dostaniem się do niewoli znali się tylko ze słyszenia; zbliżeni jednaką niedolą, poznawszy się, pokochali się bardzo i jedna tylko żyli myślą, do jednego zmierzali celu — uciec z Richmondu i wrócić do armii Granta. Postanowili sobie zatem nie pomijać żadnej przyjaznej sposobności. Ale choć w mieście byli zupełnie swobodni, Richmond jednak był tak ściśle strzeżony, że ucieczka była niemożliwą.

Gdy tak rozmyślali, przybył do Richmondu wierny i pełen nieograniczonego poświęcenia służący Cyrusa Smitha. Był to murzyn, urodzony w posiadłości inżyniera, z rodziców niewolników, którego Cyrus Smith wyzwolił oddawna. Choć wyzwolony, murzyn nie chciał opuścić pana, którego kochał nad życie. Był to człowiek trzydziestoletni, silny, zręczny, rzutny, pojętny, rozumny, łagodny, spokojny, niekiedy nawet naiwny, dobry, usłużny i zawsze uśmiechnięty. Nazywał się Nabuchodonozor, ale przez skrócenie wołano na niego Nab. Dowiedziawszy się, że ukochany pan jego dostał się do niewoli, niezwłocznie opuścił rodzinne strony, udał się do Richmondu i z narażeniem życia dostał się do oblężonego miasta. Niepodobna wyrazić słowami radości Cyrusa i Naba, gdy się połączyli z sobą.

Oblężenie nie ustawało, a jeżeli więźniowie gorąco pragnęli uciec i wrócić do armii Granta, niektórzy z oblężonych niewolników równie gorąco życzyli sobie wydostać się z miasta i połączyć się z wojskami walczącemi i z Grantem. Do takich należał Jonatan Forster. Ale ani więźniowie, ani ich przeciwnicy, nie mogli przedrzeć się przez szeregi wojsk północnych. Wtedy to Jonatan Forster umyślił puścić się balonem i tym sposobem dostać się do obozu południowców. Gubernator dał mu żądane upoważnienie. Urządzono balon i oddano go do rozporządzenia Forstera, który zamierzał wziąć z sobą pięciu towarzyszów. Mieli zabrać z sobą broń dla obrony i zapas żywności na wypadek, gdyby podróż ich powietrzna miała się przedłużyć.

Wzniesienie się balonu oznaczono na 18 marca w nocy, ale już 18 marca rano zerwał się wicher gwałtowny, który niebawem zamienił się w huragan i ten srożył się aż do 20 marca rano z taką siłą, że niepodobna było myśleć o wzniesieniu się.

Tegoż dnia, na jednej z ulic Richmondu, jakiś nieznajomy przystąpił do inżyniera Cyrusa Smitha; był to marynarz, nazwiskiem Penkroff, mający trzydzieści kilka lat, cerę nadzwyczaj ogorzałą, poczciwą fizyognomię i oczy żywe, któremi mrugał nieustannie. Marynarz ten był rodem z Ameryki północnej, żeglował już po wszystkich morzach i doznał wszelkich najdziwniejszych przygód, jakie tylko człowieka spotkać mogą. Penkroff na początku roku przybył do Richmondu za interesem w towarzystwie piętnastoletniego chłopca, Harberta Browna; był to sierota, syn dawnego jego kapitana i marynarz kochał go, jak własnego syna. Oblężenie zastało ich w Richmond i Penkroff nie posiadał się ze złości, że nie może opuścić miasta. Odtąd jedną tylko żył myślą: uciec przy pierwszej sposobności. Znał z opinii inżyniera Cyrusa Smitha i wiedział, że znakomity ten mąż pragnie wszelkimi sposobami wyzwolić się z niewoli; dlatego też bez ceremonii zaczepił go na ulicy.

*) Reporter, po angielsku, sprawozdawca dziennikarski.

— Panie Smith, czy chcesz pan stąd uciec?

— Jak i kiedy? — odrzekł żywo zupełnie mimowolnie, gdyż nie miał jeszcze czasu przypatrzeć się nieznajomemu. Teraz wlepił w niego oczy i po chwili rozpatrzywszy się w jego twarzy, nie wątpił już, że ma do czynienia z poczciwym człowiekiem.

— Dobrze — odrzekł Cyrus — lecz jakimże sposobem zamierzasz uciec i mnie zabrać z sobą?

— Z pomocą tego próżniaka balonu, który tu leży bezczynnie, jakby czekał na nas.

Nie potrzebował mówić więcej; inżynier zrozumiał go odrazu, wziął Penkroffa pod rękę i zaprowadził do siebie. Tam marynarz wypowiedział swój projekt, bardzo prosty, według niego, gdyż nie narażali nic — prócz życia. Wprawdzie huragan szalał z całą gwałtownością, ale tak śmiały i rozumny inżynier, jak Cyrus Smith, potrafi przecież obejść się z balonem; gdyby on, Penkroff, wiedział tylko, jak się z nim obchodzić, jużby go wraz z Harbertem nie było w Richmondzie.

Cyrus Smith słuchał, milcząc; oczy jednak jego pałały. Nadarzała się sposobność, a taki człowiek, jak on, pewnie jej nie opuści. Wprawdzie był to sposób nader niebezpieczny, lecz to nie mogło go odstręczyć. Pomimo nadzoru, można było wśród nocy zbliżyć się do balonu, wskoczyć w łódkę i odciąć przytrzymujące go sznury.

— Lecz ja nie sam jestem — rzekł Cyrus.

— A ileż osób chcesz pan zabrać?

— Przyjaciela mego Spilleta i służącego Naba.

— To więc ze mną i Harbertem będzie razem pięć osób — odrzekł Penkroff — a balon przygotowany był dla sześciu.

— Więc zgoda, puszczamy się! — zawołał inżynier.

I niezwłocznie zawiadomił Spilleta o zamierzonej ucieczce; ten zgodził się odrazu i zdziwił się tylko, że mu to prędzej nie przyszło do głowy. Co do Naba, ten byłby w piekło poszedł za panem.

— A więc do widzenia o 10 wieczór — rzekł Penkroff — zejdziemy się tam niby przypadkiem.

Nadszedł nareszcie wieczór, a za nim noc czarna. Gęste mgły, niby chmury, dotykały prawie ziemi; zimno było dokuczliwe, deszcz ze śniegiem razem padał. Ulice były zupełnie puste, a zwierzchność miasta uważała, że wśród tak rozszalałej burzy niema zupełnie potrzeby strzedz placu, na którym był przytwierdzony balon. W umówionym czasie więźniowie zeszli się. Obok łódki tak było ciemno, że się dostrzedz nie mogli. Niebawem Cyrus Smith, Gedeon Spillet, Nab, Harbert zajęli miejsca w łódce, a Penkroff, zgodnie z rozkazem inżyniera, odwiązywał z kolei worki balastu, poczem wsiadł także do łódki. Już mieli oderznąć sznury i unieść się w górę, gdy wtem pies jakiś jednym susem wskoczył do łódki. Był to Top, wierny pies inżyniera, który, urwawszy się z łańcucha, pobiegł za panem. Cyrus Smith, bojąc się nadmiaru ciężaru, chciał oddalić biedne zwierzę.

— Bah! jeden mniej, jeden więcej! — zawołał Penkroff, wyrzucając z łódki dwa worki piasku. Poczem zaraz puścił sznury; balon wzniósł się i uderzył łódką o dwa kominy, które rozwalił.

Pięciu ludzi i pies wznieśli się balonem dnia 20 marca, a widzieliśmy, że 24 marca czterech tylko rzuconych zostało na bezludne wybrzeże, o przeszło 6.000 mil od ich kraju. Tym sposobem nieszczęśliwi rozbitkowie utracili naturalnego swego przywódcę, inżyniera Cyrusa Smitha i bez namysłu rzucili się na jego ratunek.

(Ciąg dalszy nastąpi).



MACIEK BZDURA GADA:

Ha, no, stało się! Jak się pedziało, tak się zrobiło i od Nowego Roku jestem juz na nowej słuzbie, u grórbarza w Zatraconej wsi. Nowa słuzba i nowa parada, bo od zwycajnego gazdy zostałem beferderowany do trochę poświęcanej grórbarskiej osoby. Zawse to hunur i kuniec.

Na nowy słuzbie ogromnie mi się udało, bo i gospodarz nowy i gospodyni nowa i konie nowe i wszyćko nowe. Ze stary słuzby trochę mi ckliwo było odchodzić, bo to przecie cłek się do wszyćkiego przyzwycaił, to jakosi nieochotnie to porzucał. Jak przysed dzień świentego Sylwestra, rad nie rad musiałem zbirać swoje hadery i do drogi się coprędzej sposobić.

Z odejściem to nic, ale najgorse było pakowanie się i zbiranie wszyćkiego, co przez tyle roków na starej słuzbie się uzbirało. Przódzi tom się trochę bał, jak ja to wszyćko zabierę, ale jak się zaceło zabirać, to się zabrało, ze po mnie w Psiwólce ani dyma nie zostało. Wyzbirałem wszyćko tak do cna, jaze strach!

Pócionkę, dwie pary portek, kosulę i capkę zawiązałem do zapaski, com ją dostał od gospodyni, buciary wdziołem na łapy, a zgromadziwsy tak cały swój dobytek, byłem gotowy do drogi. Gospodyni to się tak zeźlili z mojego odejścia, ze jem bez cały dzień ślipie świciły, kieby jakiemu wilkowi, a jagem juz miał odchodzić, zrobiło się jem na gębie mokro i tak padają:

— Oj, mękolu, mękolu, siedziałbyś był, kiej ci było dobrze i mnie wstydu swojem odejściem nie robił.

Zal mi się ich zrobiło, bo choć baba casem jest despetna, to kuzda ma serce miętkie i dla chłopa litościwe. Ale jesce bardzi zal mi było gospodarza, bo choć nic nie gadali, ale w sobie taką wielgaśną załość gryźli za mną hudziakiem, zem się o mało sam nie rozbecał.

Najgorzy przecie było z Kaśką. Ta jak uźrała na plecach cały mój dobytek, to tak zaceła wyć, jak dwuletnia źrybica. Zal mi się jej okrutecnie zrobiło, bo to dziwcysko, jak nalepa, więc padam:

— Cichoj, Kasiu, cichoj! Nie bec i nie turbuj się, bo ja ci tu padam przy gospodyni i gospodarzu, ze jak se na nowy słuzbie insy nie znajdę, to ciebie nigdy nie przestanę lubieć.

Utamowała się nieco poćciwina i uspokoiła a ja sam o małom się nie rozbecał, ze jesce są tak uściwe baby w nasy wsi. Ino tem się pociesam, ze nigdzie na świecie tego towaru nie brak, to i gdzieindziej na świecie uściwy babski gatunek się znajdzie ku pocieseniu ludzkiemu. Latego na nową słuzbę posedem z lzejsem sercem i z lzejsem zołądkiem, bo gospodyni na pozegnanie przy płakaniu zabacyli mi dać jeść.

Z TYGODNIA.

Rozpoczęcie robót kanałowych w Galicyi. We środę, dnia 27 grudnia z. r. odbyło się w Brzeźnicy uroczyste rozpoczęcie budowy kanałów galicyjskich. Poświęcenia dokonał ks. biskup-sufragan Anatol Nowak z Krakowa. Obecni byli: minister skarbu Zaleski, minister Galicyi Długosz, minister robót publicznych Trnka, namiestnik Bobrzyński, i liczni przedstawiciele władz i kraju. Wiekopomne to dzieło, postanowione ustawą z dnia 11 czerwca 1911 roku, oddane zostało do wykonania na przestrzeni gmin Kossowa-Zelczyna inżynierom krajowym Z. Rodakowski, J. Sosnowski i A. Zacharjewicz pod naczelnym kierunkiem Dyrekcyi budowy dróg wodnych w Wiedniu i tejże Ekspozytury w Krakowie. Na miejscu wmurowano akt fundacyjny. Wywalczenie rozpoczęcia budowy kanałów w Galicyi i zapewnienie dalszego ich prowadzenia, przedsiębiorstwa posiadającego doniosłe znaczenie dla podniesienia dobrobytu naszego kraju, jest zasługą obecnego solidarnego i mającego wielkie znaczenie w parlamencie i rządzie Koła polskiego.

Rusini a sejmowa reforma wyborcza. Dn. 29 grudnia odbył we Lwowie posiedzenie podkomitet komisyi reformy wyborczej. Mimo iż Polacy, stosownie do życzenia Rusinów, oznaczyli procentowo liczbę mandatów ruskich (proponowali 25 proc. ogólnej liczby mandatów) i nie odmawiali im dalszych ustępstw, posłowie ruscy opuścili posiedzenie.

Obrady delegacyi wspólnych. Przez kilka dni poświątecznych obradowały w Wiedniu delegacye wspólne i uchwaliły wspólne prowizoryum budżetowe. Na dalszą sesyę zwołane będą delegacye w marcu 1912.

Wojna włosko - turecka. Z pola walki, na którem nieco ucichło przed świętami z powodu cofnięcia się wojsk tureckich do południowych oaz dla wypoczynku, nadchodzą sprzeczne wiadomości. Sprawozdania włoskie donoszą o zwycięzkich potyczkach i znacznych tureckich stratach, natomiast tureckie przedstawiają przebieg walk niekorzystnie dla oręża włoskiego. Jak zwykle w takich razach ani jednej, ani drugiej stronie ufać nie można. — Izba turecka przyjęła ustawę, wprowadzającą 100 procentowe cło na towary włoskie. Równocześnie rząd zamknął podobno banki włoskie i inne tego rodzaju przedsiębiorstwa. Zarządzenia te wywołały w kołach kupieckich włoskich wielkie przerażenie, kupcom włoskim w Turcyi grozi bowiem z tego powodu ruina materyalna.

Rosya w Persyi. Zaborczość rosyjska w Persyi wywołała zbrojny opór, który przed kilkunastu dniami zamienił się na większą bitwę pod miastem Tebris, stoczoną z wojskiem najezdniczem. Rosyanie popełniali w walce okrucieństwa, masakrując perskie kobiety i dzieci. Po stronie perskiej poległo 50 ludzi. Wojsko rosyjskie obsadziło wszystkie budynki rządowe i stacye telegraficzne. Anglia nie może zgodzić się na to, żeby Rosya sama gospodarowała w Persyi i ze swej strony zamierza wystąpić również w południowej Persyi.

Rzeczpospolita w Chinach. W stolicy cesarstwa chińskiego, Pekinie, i w 13 prowincyach rewolucyoniści są górą. Wobec tego dynastya mandżurska oświadczyła gotowość ustąpienia z tronu. Konferencya między przedstawicielami dynastyi u rewolucyonistów zakończyła się zwycięstwem zwolenników rzeczypospolitej. Prezydentem rzeczypospolitej wybrano jednego z przywódców Su-ja-crena.

KRONIKA.

Od Redakcyi. Wszystkim naszym Kochanym Współpracownikom, Przyjaciołom i Czytelnikom przesyłamy serdeczne życzenia z rozpoczynającym się Nowym Rokiem, aby Bóg Najlepszy darzył ich czerstwem zdrowiem i użyczał im szczęścia i wszelakiej pomyślności. Za otrzymane od Przyjaciół naszych życzenia składamy na tem miejscu najserdeczniejsze podziękowanie.

Tym wszystkim, którzy nie odnowili prenumeraty na 1912 rok, musieliśmy wstrzymać wysyłkę „Roli.“ Nie uczyniliśmy tego wcale z powodu braku zaufania, ale dla porządku w ekspedycyi pisma i w administracyi. Trudno bowiem przy wysyłce kilkunastu tysięcy egzemplarzy pamiętać, kto prosi o dalszą wysyłkę a kto nie. Dla wszystkich tych, którzy przysyłają prenumeratę, pisze się nowe adresy, ci zaś, którzy nie przysłali prenumeraty, adresów napisanych nie mają, a wskutek tego numerów „Roli“ nie otrzymują.

Zawiadamiamy nadto, że kto przyśle prenumeratę, numer pierwszy z początkami pięknych powieści natychmiast otrzyma.

Okładki do „Roli“ na rok 1911 wysłaliśmy tym wszystkim, którzy przysłali 50 hal., innym zaś, gdy tylko przyślą pieniądze natychmiast wyślemy. Prosimy jednak, ktoby chciał okładkę nabyć, niech się spieszy, gdyż mamy ich tylko kilkadziesiąt.

Kalendarzy „Roli“ mamy jeszcze pewien zapas i każdy z naszych prenumeratorów może nabyć ich dowolną ilość po wyjątkowo zniżonej cenie 50 hal. za sztukę.

Ojciec św. o nowym biskupie krakowskim. Ojciec św., Pius X, w odpowiedzi na przemówienie księcia biskupa krakowskiego ks. Sapiehy, wypowiedziane z okazyi przedstawienia mu polskiej delegacyi, wygłosił mowę, w której trafnie scharakteryzował obecnego duszpasterza krakowskiej dyecezyi. — »Oto z chwilą, mówił Papież, kiedy się dowiedziałem, że cesarz, na przedstawienie jednomyślne wszystkich biskupów, życzy sobie na biskupstwo krakowskie ks. Sapiehę, ucieszyłem się tem ogromnie, gdyż już zdawna poznałem jego wielki rozum, naukę, jego prostotę i uprzejmość, jego głęboką wiarę i przywiązanie do Stolicy Apostolskiej. Jestem przekonany, mówił w dalszym ciągu Ojciec św., że skoro po rządach kardynała Puzyny, człowieka o silnym charakterze i wielkiej energii, nastąpią teraz rządy biskupa Sapiehy, którego zdobią łagodność serca i miłość, można się spodziewać jak najdodatniejszych skutków działalności nowego arcypasterza dyecezyi krakowskiej«.

Pożegnanie ks. proboszcza w Ociece. — Z początkiem grudnia opuścił naszą parafię ks. Józef Piechowicz i przeniósł się do Nockowej. Był to człowiek zacny, prawdziwy przyjaciel parafian i ich dobroczyńca. Był tylko ośm lat w Ociece a zrobił dla niej tyle, iż zdawałoby się, że pozostawał na tem stanowisku kilkadziesiąt lat. Za jego staraniem zbudowano piękny kościół, plebanię, spichlerze itp. Pracował on również gorliwie i na polu społecznem. Był przez 7 lat przewodniczącym Kółka rolniczego

wraz ze sklepem i pokazało się przy przeprowadzonej lustracyi, że, dzięki jego pracy i zaparciu się, sklep ten rozwijał się jak nigdy przedtem. Założył on też kasę Raiffeisena, która wyrwała parafian z rąk żydowskich i przez to samo wzbogaciła ją materyalnie i moralnie. To też wiadomość o mianowaniu go przez konsystorz biskupi proboszczem w Nockowej wywarła na parafianach przykre wrażenie, nic więc dziwnego, że w dniu odjazdu żegnano go z prawdziwym żalem i łzą w oku. Niech mu Pan Bóg szczęści na nowej posadzie, aby jeszcze w większej mierze pozyskał parafian dla siebie.

(K. T.) **Wyśledzony podpalacz.** W Miechowicach wielkich, powiatu dąbrowskiego, w dniu 8 grudnia o godz. 7 wieczór powstał ogień w stodole Agaty Polan, która przed pół rokiem wyjechała do Ameryki, zostawiając pięcioro dzieci na łasce swych krewnych. Zabudowanie wraz z stodołą i stajnią wypuściła w dzierżawę żydowi na 3 lata, który stajnię przemienił w sklep bławatny i korzenny i cały majątek swój włożył w towary świeżo przywiezione wartości 12 tysięcy koron. Poszło to wszystko z dymem a nie było wcale ubezpieczone. Dzięki śledztwu komendanta posterunku Waniugi podpalacz został wykryty. Był nim 18 letni syn Agaty Polan.

Zaczadzone dzieci. Na jednem z przedmieść Lwowa zdarzył się w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia okropny wypadek. W jednym z domów mieszkał robotnik Franciszek Sorówka wraz z żoną i trojgiem dzieci, z których najstarszy chłopak liczył lat 10, młodsza córka lat 7, a najmłodsza Antonina lat 4. Dnia 25 rano rodzice, zapaliwszy w piecach, zamkneli dzieci w mieszkaniu, a sami poszli do kościoła. Dzieci spały. Tymczasem nie odetkany widocznie piec, począł wydzielać silny czad. Nikt z sąsiedztwa nie zauważył niebezpieczeństwa, które zawisło nad życiem nieszczęśliwych dzieci, nikt nie pospieszył im z pomocą. W kłębach trującego dymu biedne dzieci poniosły straszną śmierć. Kiedy rodzice powrócili z kościoła, zastali na łóżeczkach już tylko ich zwłoki.

(K. Ż.) **Pożar.** W dniu 23 grudnia wybuchł pożar w gminie Chybi, na Sląsku austr., około godziny 4 rano. Naprzód zajęły się budynki gospodarskie drewniane, stojące pod jednym dachem t. j. stodoła, szopa, stajnie na konie i krowy, jakoteż i chlewki na świnie, należące do p. Strządały. Od tego zapalił się dach na murowanej gospodzie, tuż obok stojącej, będącej obecnie własnością kupca p. Schröttera. Z powodu, że ogień ogarnął całe budynki w okamgnieniu, nie zdołano uratować niczego. Spaliły się dwa konie, trzy krowy i jedna świnia z prosietami, jakoteż spaliły się gęsi, kury i kaczki. — W stodole była nagromadzona wszystka strawa dla koni i bydła, która się do szczętu spaliła, jak również spaliły się wszystkie narzędzia gospodarskie i maszyny. Ogromna szkoda jest tem większa, ponieważ budynki p. Strządały nie były asekurowane. Gospoda była ubezpieczona. Ogień był zbrodniczą ręką podłożony. Ostatniemi czasy było już w Chybiu i okolicy kilkanaście pożarów, a przeważnie stodoły bywają podpalane; pomimo tak częstych pożarów są jeszcze jednostki, które nie mają swych budynków ubezpieczonych od ognia, a którzy w razie nieszczęścia pozostają bez dachu i z gołemi rękoma.

Humor w parlamencie. Jeden z dziennikarzy, sprawozdawców parlamentarnych wiedeńskich wydał wesołą książeczkę, mieszczącą zabawne powiedzenia posłów, które im się wymknęły z ust podczas długich mów. Oto niektóre z nich: »Obecny minister oświaty i wyznań jest człowiekiem, którego lewa ręka nie wie, co mówi prawa«. »Poborcy podatkowi wydzierają z ust biednemu chłopu na wsi ostatnią podartą koszulę«. »Ważną gałęź rolnictwa tworzy chów bydła, do którego i ja mam zaszczyt należeć«. »Panowie! ochraniając bydło, ochraniamy samych siebie«. »Pieniądze popłynęły, miliony zniknęły. Wówczas zaczęliśmy robić długi, ale i one znikneły«. »Przypominam sobie jeszcze bardzo dobrze, że przy urodzinach mojego ojca stosunki pod tym względem panowały zupełnie inne«. »Zakonnice te zajmowały się, oprócz opieki nad chorymi, także gospodarstwem: krowami, trzodą chlewną i innem drobiem«. »Jestto owo jajko kukułcze, które lew dwuogoniasty złożył w gnieździe niemieckiem«. »Wysoka Izbo! Rozmnażanie się ludności na równinach odbywa się w sposób zupełnie naturalny. Zaraz to panom pokażę«.

Cesarz na polowaniu. Życie cesarza Franciszka Józefa I. najsędziwszego w Europie i największą czcią otaczanego monarchy od wielu dziesiątek lat upływa przedewszystkiem na ustawicznej, prawie bez wytchnienia pracy. Cesarz Austryi, jak wiadomo, zimą czy latem wstaje bardzo wcześnie i od godziny 4 rano już pracuje przy swem biurku. I cały dzień schodzi mu dalej na przyjmowaniu raportów dostojników cywilnych i wojskowych, na omawianiu z nimi spraw ważnych dla państwa i poszczególnych krajów, na czytaniu przedłożeń i t. p.



Latem tylko monarcha urządza sobie rodzaj wakacyi, opuszcza Wiedeń i przebywa zazwyczaj w ulubionej miejscowości Ischl. Tam jednak również nie zapomina o sprawach państwowych i najważniejsze przedłożenia każe sobie przesyłać. Jedyną rozrywką cesarza, której oddaje się bardzo chętnie, stanowią polowania. Cesarz jest zapalonym myśliwym i bardzo celnym strzelcem. Mimo podeszłego wieku poluje z pomyślnym rezultatem na sarny i jelenie. Obrazek nasz przedstawia monarchę Austryi w stroju myśliwskim na polowaniu.

Łagodna zima. W tych dniach znaleziono w jednej wiosce morawskiej zielony chrust na polu. Dowód, jak łagodna jest tegoroczna zima. W Wielkiem Księstwie Poznańskiem tu i ówdzie, skutkiem niezwykle łagodnej ciepłoty drzewa zaczęły się rozwijać. W Gościejewie pod Rogoźnem n. p. kwieciem okryła się jabłoń w ogrodzie pewnego gospodarza. W Saksonii panują również niezwykłe o tej porze ciepła. Drzewa okryły się kwieciem, a włościanie wypędzają bydło na pastwiska. Dotkliwie daje się tam natomiast we znaki rolnikom susza.

Masowe zatrucie czy epidemia? W zeszłym tygodniu w przytulisku dla bezdomnych w Berlinie zmarło na niezwykłą, a niezbadaną dotąd, chorobę jednego dnia 50 ludzi. Lekarze nie zgadzają się co do przyczyny śmierci: jedni upatrują jej przyczynę w masowem zatruciu złą strawą, inni w epidemii, zbliżonej do cholery. Na tej samej ulicy, na której

znajduje się przytulisko, kilkanaście osób zmarło również na nieznaną chorobę. Przebieg jej jest tak szybki, że kilku chorych zmarło, zanim lekarz zdołał ich oglądnąć. W Poczdamie padł na ulicy, wijąc się w kurczach, 60-letni robotnik Grane. Wśród takich samych objawów zachorował w Poczdamie jeden bezdomny, w Herbsdorfie dwóch. Nie stwierdzono atoli jeszcze, czy te wypadki są w związku z epidemią w przytulisku berlińskiem.

Walka z węgierskimi przemytnikami. Leśniczy p. Wagner na Bukowinie, powracając raz około godz. 6 wieczorem, z obchodu przydzielonego mu rewiru w lesie, spostrzegł w głębi lasu stado pięknych rumuńskich wołów, które pięciu chłopów starało się przepędzić przez rzekę Dornę na stronę węgierską. Ponieważ to wydało się leśniczemu podejrzane, przeto chcąc sprawę bliżej zbadać, przystąpił do chłopów, którzy jednak spostrzegłszy go, uciekli natychmiast w gąszcze, pozostawiając 13 sztuk potężnych wołów na łaskę losu. Leśniczy domyślił się, iż ma do czynienia z przemytnikami. W tej chwili bowiem posypały się na niego z krzaków gęste strzały rewolwerowe, na które leśniczy, skrywszy się za drzewo, odpowiedział kilkakrotnie ze swej strzelby, w którą był uzbrojony.



Na odgłos gęstych strzałów zjawił się po chwili bawiący przypadkowo w pobliżu gajowy, przy pomocy którego, gdy przemytnicy uciekli, zdołał leśniczy opuszczone stado wołów zapędzić do realności najbliższego gospodarza, gdzie je zamknął w oborze. Uwiadomiona o wypadku żandarmerya zdołała jeszcze tej samej nocy przyaresztować dwóch przemytników, przy których znaleziono duże wojskowe rewolwery i większą sumę pieniędzy. Zeznali w sądzie, że przemytnictwem dawno się trudnią, kupując woły tanio w Rumunii i przemycając przez Bukowinę do Węgier.

Niemieckie straże powietrzne. Angielskie czasopisma wojskowe rozpisują się szeroko o zabiegach, jakie Niemcy czynią około zaprowadzenia najdalej w ciągu dwóch lat nieprzerwanego łańcucha powietrznych patroli wzdłuż wschodnich i zachodnich granic państwa. Ministerstwo wojny niemieckie postanowiło zaopatrzyć każdy obronny punkt graniczny we własne oddziały wywiadowczych latawców, które mają pełnić bezustanną straż nad fortami i placówkami. W tym celu wojskowy korpus lotniczy, dziś stojący w miejscowości Döberitz, ma z początkiem przyszłego roku być rozłożony oddziałami po wszystkich punktach. Każdy większy port wojennej marynarki i każde miasto nadmorskie otrzyma większy zapas latawców, które krążąc bezustannie nad wybrzeżem i wylatując nad morze, spełniać będą szczególnie ważną służbę strażniczą. Te wszystkie zarządzenia oddadzą w razie wojny usługę: straż powietrzna oznajmiać będzie zawczasu pojawienie się nieprzyjaciela w okolicy, a jednocześnie będzie zawsze gotowa do przeciwdziałania nieprzyjacielskim próbom zniszczenia fortów wybuchowymi pociskami z własnych latawców. Wojskowych lotników jest dziś w niemieckiej armii 70.

Pijaństwo a zbrodnie. Bawarskie ministeryum sprawiedliwości czynić będzie regularne wywiady w sprawie szkodliwego wpływu alkoholu na liczbę i rodzaj przestępstw i zbrodni. Oto co pierwsze tego rodzaju zestawienie na rok 1910 głosi: 8674 wyroków za czyny karygodne, popełnione pod wpływem alkoholu, stały się w tym roku karygodnymi, a 190 było zasądzeń u osób, rekrutujących się z pijaków nałogowych. Z tego wynikałoby jasno, co jeszcze ogólnie nie jest dostatecznie znanem, że więcej karygodnych czynów, w stanie napiłym popełnionych, dopuścili się okolicznościowi niż nałogowi pijacy; dalej z tego wysnuć trzeba wniosek taki, że alkohol za każdorazowem użyciem przytępia rozwagę i rozbudza nasze niższe instynkta, a odbiera rozum. Tych 8864 skazanych dopuściło się razem 10042 przestępstw, a z tych (prawie połowa) przypada pod rubrykę: niebezpieczne uszkodzenie cielesne. Gdy doliczymy do tego pośredni wpływ alkoholu, n. p. wszystkie te wypadki, gdzie nadużywanie alkoholu doprowadziło ruiny majątkowej, a z powodu tego do oszustwa, sprzeniewierzenia się — w bankach i t. d., to jeszcze nie obejmiemy całej masy przestępstw, spowodowanych przez alkohol. Dalej w 150 wypadkach nie można było osób karać, ponieważ były w chwili przestępstwa do nieprzytomności pijane. Te liczby powinny niejednemu oczy otworzyć na niezmierną szkodliwość alkoholowych napojów!

Waga narządów wewnętrznych człowieka. Jedno z pism lekarskich podaje wagę narządów wewnętrznych w młodości i w wieku późniejszym. Wątroba, która u ludzi młodych waży 1500 gramów, po latach 60 ma zaledwie 900 gramów wagi. Mózg traci przeciętnie 150 gramów; wówczas gdy u ludzi w pełni sił waży 1165 gramów, na schyłku lat ma 990 gramów. I mlecz pacierzowy traci od 100 do 200 gramów. W przeciwieństwie do tych organów waga serca zwiększa się, jest ono o 100 gramów cięższe u starca niż u człowieka młodego.

Zgładzenie słonia. We Frankfurcie, w Niemczech, w ogrodzie, w którym znajdują się dzikie zwierzęta, od lat dwudziestu żył olbrzymi słoń, zwany »Żak«. Przed niedawnym czasem z powodu wypadku, utworzyła mu się na przedniej nodze duża rana, skutkiem której chodzić nie mógł i bardzo cierpiał.



Gdy wszelkie zabiegi lekarzy nic nie pomogły, postanowiono zgładzić wspaniałe zwierzę, by nie cierpiało więcej. Zastrzyknęli mu więc lekarze do krwi 30 gramów morfiny, trucizny, którąby zabiła w tej ilości 1.200 ludzi. Ale to nie zwaliło słonia z nóg. Nie wiele też pomogło zastrzyknięcie drugiej truci-

zny, chloroformu. Osłabł tylko po niem, lecz żył dalej. Dopiero strzał w oko, tak, że kula dostała się do mózgu pozbawił olbrzymie zwierzę życia i cierpień.

Samorząd miejski w Królestwie. Duma rosyjska prowadzi obrady nad ustawą o samorządzie miejskim w Królestwie Polskiem. Po długiej dyskusyi przyjęto artykuł, według którego wszelkie pisma zarządu miejskiego do instytucyi rządowych lub osób urzędowych i naodwrót, muszą być pisane po rosyjsku. W urzędowaniu wewnętrznem, obok języka rosyjskiego, dopuszczalny jest język polski. Ustne rozprawy w Radzie miejskiej lub zarządzie miejskim mogą, według życzenia, odbywać się po rosyjsku lub po polsku. Uchwały zarządu miejskiego muszą być zredagowane po rosyjsku, jeżeli ustawa to przewiduje. Przyjęto też poprawkę posła ludności rosyjskiej Warszawy, Aleksiejewa, że prezydent miasta musi kierować obradami Rady miejskiej w języku rosyjskim.

Straszny wypadek z niedźwiedziem. Na przedstawieniu cyrkowem na placu targowym w Kielcach, w Królestwie Polskiem, wydarzył się 19 grudnia straszny wypadek. Jeden z niedźwiedzi rozbił klatkę i wypadłszy na plac, gdzie wiele ludzi było zgromadzonych, jak zazwyczaj przed budami z widowiskami, zabił troje dzieci i dwie osoby dorosłe. Za niedźwiedziem rozpoczęto długotrwałe polowanie po ulicach miasta, zakończone zastrzeleniem niebezpiecznego zwierza.

Szczątki pomordowanych. Przy kopaniu wodociągów na Pradze, naprzeciw Warszawy, znaleziono mnóstwo kości, złożonych w jednym grobie. Prawdopodobnie pochodzą one jeszcze z roku 1794, z czasów powstania kościuszkowskiego, mianowicie z pamiętnej rzez Pragi przez Suworowa.

Straszna sekta. Saratowski korespondent »Birzew. Wiedom.« donosi o wypadkowem wykryciu przez władze miejscowe w Saratowie strasznej sekty dusicieli, która podobno istnieje już od lat 30. Sekta nosi miano »podpolniki«. Treścią jej »nauki« jest przekonanie, że każdy, kto chce »zbawić duszę« powinien żyć nie dłużej, niż 60 lat. Kto więc doszedł do tego wieku, musi umrzeć i — bywa uduszony. Obrzęd uduszenia odbywa się w domu modlitwy przy śpiewaniu psalmów i odczytywaniu ksiąg starożytnych. Duszą ofiarę za pomocą kilku poduszek, któremi starców się zarzuca. Naprowadziły policyę na ślad tej sekty następujące poszlaki: Parę miesięcy temu zniknął bez śladu 60-letni Kabankin, właściciel domu, z zawodu dorożkarz. Różne wersye o jego tajemniczem zniknięciu doszły do uszu policyi równocześnie z pogłoską, że młody Kabankin jest głową sekty »podpolników«. Pewnej nocy w mieszkaniu Kabankina dokonano rewizyi, przyczem wykryto potajemne drzwiczki, zamaskowane łóżkiem, prowadzące do piwnicy, która przez cały szereg korytarzy łączyła się z podziemnym domem modlitwy. Znaleziono tu szereg starych ksiąg starosłowiańskich a także krucyfiks. Kabankina wraz z żoną zaaresztowano, a przy badaniu młody Kabankin przyznał się, że ojciec jego pochowany jest w stajni. Zwłoki starego Kabankina istotnie tam znaleziono, ale w takim stanie rozkładu, iż niepodobna ustalić przyczyny śmierci. Prawdopodobnie jednak uduszono go; w myśl przykazania sekty dosięgnął bowiem lat 60.

Nieszczęśliwa rodzina na Syberyi. W tej krainie wygnania znajduje się nieszczęśliwa rodzina, złożona z matki i 7-ga drobnych dzieci, pozostała po ś. p. Janie Tusinie, który pochodził ze wsi Zyczyna, parafii korytnickiej, gminy Trojanowa, w gubernii siedleckiej. Przed wyjazdem na Syberyę pracował w kopalni, zwanej Katarzyną; rodzina jego mieszkała we wsi Ostrownicy, w gminie michowskiej, w gub. radomskiej. Położenie wdowy po ś. p. Tusinie jest w najwyższym stopniu rozpaczliwe, znajduje się ona w nędzy bez opieki i środków do życia. Pragnie wrócić do Polski, ale nie ma za co. O losach tej biednej rodziny donoszą gazety z Królestwa Polskiego.

Straszne skutki zalecanek. We wsi belgijskiej Oversysche mieszkało dwóch braci, starych kawalerów, z których jeden był upośledzony na umyśle. Zdrowy brat widział, że zagroda ich potrzebuje koniecznie gospodyni, nie chciał jednak narażać swej wolności kawalerskiej i dlatego postarał się o żonę dla swojego brata. Wyszukał dziewczynę młodą i zdrową, która, będąc biedną, zgodziła się na poślubienie bogatego, choć słabego na umyśle wieśniaka. Wkrótce po ślubie brat nowożeńca począł prześladować bratowę swojemi zalecankami, ta jednak była nieczuła na wszystkie jego zabiegi i pogróżki i mimo wszystko pozostała wierną swemu mężowi. To go tak rozwścieczyło, że ostrą siekierą rozbił głowę nieszczęśliwej kobiecie i zbiegł w pole, pozostawiwszy ją w chacie napół żywą. Nazajutrz znaleziono zwłoki jego w studni, do której rzucił się, trawiony wyrzutami sumienia.

Psy św. Bernarda. Pomimo rozpowszechnienia się komunikacyi kolejowej, oraz przekopania tunelów przez góry św. Gotarda i Simplon w Szwajcaryi, droga piesza przez górę św. Bernarda jest dosyć jeszcze uczęszczana, nawet obecnie w porze zimowej. Trudnej tej i niebezpiecznej drogi używają przeważnie ubodzy Włosi, wędrujący piechotą dla zaoszczędzenia grosza. To też i słynne psy z klasztoru św. Bernarda, położonego na tej górze, wciąż jeszcze oddają znaczne usługi wędrowcom, którzy zmylili drogę lub padli z wycieńczenia, zaskoczeni przez burzę i śnieżyce. Kilka takich wypadków zdarzyło się w ostatnich czasach, a dzielne zwierzęta ocaliły wędrowców. Tak np. donoszą o dwu kobietach, które w tych dniach padły wieczorem na drodze i byłyby zmarzły w ciągu nocy, gdyby nie dwa psy z klasztoru. Szukając zabłąkanych psy te znalazły nieprzytomne kobiety i przywołały szczekaniem zakonników.

Wydalania z Trypolis. Gdy Włosi przekonali się, że Arabom dowierzać nie można, bo mimo niby przyjaznego usposobienia, czynili zdradzieckie napady w nocy na wojska włoskie, postanowili miasto Trypolis oczyścić z ludności arabskiej.



Nasz obrazek przedstawia takie masowe wydalanie Arabów pod strażą wojska włoskiego. Wszystko co żyło, starcy, kobiety i dzieci musieli opuścić miasto.

Polacy w miastach amerykańskich. Największą ilość Polaków znajdujemy w 3-milionowem mieście Chicago, gdzie doszli oni do olbrzymiej liczby 350.000 osób, stanowiąc 11·7 proc. ludności. Jest

to drugie po Warszawie na świecie miasto polskie. Następnie w Nowym Jorku liczba Polaków sięga 260.000, co wynosi 6·8 proc. ogółu mieszkańców, których liczą tu na 3,800.000 głów. — Buffalo wraz z przedmieściami liczy 100.000 Polaków, co wynosi 20 proc. ludności ogólnej. A w r. 1870 było tu jeno 135 przychodźców polskich. Czwarte z kolei miejsce co do liczby Polaków w grodach amerykańskich, zajmuje Milwaukee, gdyż posiada ono 85.000 Polaków, co wynosi 21·3 proc. na 400.000 mieszkańców. Detroit posiada 75.000 Polaków na półmilionową ludność miasta. W Filadelfii mieszka 60.000 Polaków, w Pittsburgu 50.000, Clevelandzie 30.000, Baltimore 25.000 i nakoniec w Toledo 20.000 osób polskiej narodowości. W Stanach Zjodnoczonych Ameryki północnej przebywa więc olbrzymia liczba naszych wychodźców, wynosząca prawie szóstą część liczby Polaków na całym świecie.

Dzielna kobieta. W Nowym Jorku w Ameryce, jest niejaka Ida Lewis dozorczynią latarni morskiej. Od czterdziestu kilku lat pełni wzorowo swe obowiązki, a odwaga jej budzi podziw powszechny. Wyratowała ona z topieli wielu ludzi i stała się wskutek tego najsławniejszą kobietą w Ameryce. Gdy liczyła lat 15, został jej ojciec zamianowany latarnikiem i wtedy rodzina zajęła swoje urzędowe mieszkanie, t. j. samotną latarnię morską w pobliżu portu. Mała Ida, najstarsza córka rodziców, oswoiła się prędko z morzem: codziennie odwoziła na łódce swoje rodzeństwo do miasta, a wieczorem przywoziła je z powrotem z miasta do domu. Wkrótce też wsławiła się przez swoją odwagę. Oto czworo dzieci bogatych rodzin nowojorskich wskutek przechylenia się łódki zaczęło tonąć, a ich wołania o ratunek dotarły aż do świetlanego domku. W tej chwili wyjechała Ida ze swoją łodzią i zdołała jeszcze wyratować wszystkie dzieci. Później objęła po ojcu odpowiedzialny urząd latarniczki i jest nią do dzisiaj, pełniąc doskonale swoje obowiązki pomimo 68 swoich lat życia. Mnóstwo medali, pochwał i podarunków zdobi skromny domek tej dzielnej strażniczki morskiej.

Największe okno na świecie. Oknem takiem poszczycić się może naturalnie — Ameryka. Zbudowano je dla pewnej fabryki w Linkoln, w stanie Nebraska. Jest ono 19 stóp wysokie, a 18 szerokie. — O ogromie jego dać może wyobrażenie to, że ludzie stać mogą swobodnie w niezaopatrzonych jeszcze w szyby ramach. Wspinali się po olbrzymiem oknie przed jego oszkleniem jakby po kilkunastu złączonych z sobą bokami drabinach.

Z powstania w Chinach. Powstanie w Chinach obfituje w krwawe wojenne wypadki. Rozszerzyło się ono na wielkie przestrzenie kraju i zachwiało dotychczasowym porządkiem państwowym.



Obrazek nasz przedstawia zaciętą walkę rewolucyonistów chińskich pod miastem Hankau.

Czas chiński. Rok chiński rozpoczyna się 30 stycznia. Obecny rok jest 48 rokiem 76 cyklu. Cykl składa się z 60 lat, a pierwszy rok pierwszego cyklu przypada na 2637 r. przed Chrystusem. Wskutek oparcia rachuby czasu na zmianach księżyca, zmienia się znacznie liczba dni poszczególnych lat. Zwykle liczy rok dwanaście miesięcy czyli księżyców, a co 30 księżyców dołącza się do roku trzynasty miesiąc. Z tego powodu rok liczy tylko 354 dni, ale czasem także 383 dni. Miesiące chińskie liczą 29 albo 30 dni. Rok chiński nie stosuje się zupełnie do pór.

Odcięte głowy na postrach. Podczas obecnej rewolucyi w Chinach z jednej strony — rząd chiński wysyłał całe armie, uzbrojone na sposób europejski, przeciw powstańcom — z drugiej zaś stosował barbarzyńskie środki, celem odstraszenia szerokich mas ludności przed rewolucyą.



W tym celu władze chińskie polecały na murach miast, w pewnych niewielkich odstępach, wywieszać w żelaznych klatkach odrąbane od ciał i ociekające krwią głowy poległych, lub straconych powstańców — dla odstraszenia ludności przed łączeniem się z powstańcami, lub wspomaganiem ich w jakikolwiek sposób. Nasz obrazek przedstawia właśnie takie krwawe straszydła na murach stolicy Chin, Pekinu.

Chiński warkocz i reforma kalendarza w Chinach. Jak wiadomo, na pierwszy rzut oka poznać już można Chińczyka po długim warkoczu, zwisającym mu na plecy. Obecnie rząd chiński ogłosił rozporządzenie, zezwalające na obcinanie warkocza. Równocześnie radzie ministrów zostanie przedłożony projekt reformy kalendarza chińskiego. Warkocz, noszony przez Chińczyków, nie jest wcale wypływem zwyczajów chińskich, lecz został zaprowadzony rozkazem dynastyi mandżurskiej ku końcowi 17 stulecia na znak przywiązania do panującego domu cesarskiego i uczuć wiernopoddańczych. Ostatecznie Chińczyk nie musiał nosić warkocza, ale w takim razie tracił głowę jako rewolucyonista. Teraz, gdy dynastya mandżurska jest na wylocie, warkocz stał się dla niej obojętnym. Co do kalendarza, to Chińczycy posiadają zupełnie odrębną rachubę czasu. Dzień trwający od północy do północy, dzieli się na 12 godzin. Podział miesiąca na tygodnie nie istnieje, skutkiem czego niema też jednodniowego wypoczynku w tygodniu.

Chińska sprawiedliwość. W zasadzie chińska sprawiedliwość jest najpiękniejszą na całym świecie. O każdej porze dnia i nocy nędzarz ma prawo żądać od sędziego wymiaru sprawiedliwości. Wystarczy, aby uderzyć w gong (rodzaj dzwonu), umieszczony przy budynku sądowym, a sędzia jest obowiązany obudzić się z najgłębszego snu, wdziać szatę urzędową, wysłuchać skargi i nie ma prawa żądać za taki trud wynagrodzenia, albowiem »Oko spra-

wiedliwości jest zawsze otwarte«. Tak jednak jest tylko na papierze, tak napisane jest w starych księgach sprawiedliwości chińskiej. W praktyce jednak Chińczycy nigdy dobrowolnie nie zwracają się do sędziego, ponieważ sędzia zawsze wyrokuje według prawa, prawo zaś jest nieustannie zmieniane przez edykty i dekrety, przeczace jedne drugim, sędzia więc w sposób jak najściślej prawny, robi co mu się podoba. Ruina majątkowa, oto najmniejsza klęska, jaka może stać się udziałem Chińczyka z całą jego rodziną, który dostanie się w szpony sędziego chińskiego.

Nie można sobie wyobrazić nic bardziej kolorowego, jak sąd chiński. W sali sądowej wszystko jest czerwone, począwszy od ścian, stołu, fotelu sędziowskiego, skończywszy na mundurach służby sądowej, stroju kata i jego pomorników. Ściany są przyozdobione batogami, trzcinami bambusowemi, obrożami i wielu innemi tego rodzaju narzędziami tortur. Oskarżyciel, świadkowie i oskarżony muszą klęczeć podczas rozpraw i od czasu do czasu uderzać głową o ziemię. Sędzia zachowuje się z trudnym do wysłowienia majestatem. Liczba kar cielesnych jest bardzo znaczna. Najlżejszą jest wymierzanie sporej liczby szybkich uderzeń. Poza tem sprawiedliwość chińska ma różne ciężkie tortury, nie stosowane nawet w innych azyatyckich państwach.

Człowiek jako pies policyjny. Policya kryminalna w Nowym Jorku, jeden z najlepiej zorganizowanych urzędów policyjnych całego świata, zyskała nowego współpracownika w osobie niejakiego Orwina, odznaczającego się niezwykłym węchem. Zmysł węchu Orwina posiada delikatność, jaką się chyba spotyka u psów. Orwin jest z pochodzenia Indyaninem, a właściwie mieszańcem, gdyż matka jego należy do rasy białej. Orwin już z pomocą węchu wyśledził kilku przestępców. Być jednak może, iż ów węch pana Orwina to bajka amerykańska, jakich dość dużo przynoszą tamtejsze gazety.

Czytelnictwo w liczbach. W r. 1908 Francya liczyła 8940 czasopism, Niemcy 8050, Anglia 4329, Włochy 3068, Belgia 2023, Rosya 1661, Hiszpania 1350, Szwajcarya 1332, Holandya 1302. Rosya zatem posiada mniej wydawnictw peryodycznych, niż mała Belgia, a niewiele więcej od małej Szwajcaryi i Holandyi. W naszym kraju, choć z zadowoleniem należy stwierdzić, że liczba czytających wzrasta, to jednak, szczególnie po wsiach, w porównanie iść nie może z ilością czytelników włościan np. w Czechach. Dzielny ten naród nie żałuje, niewielkiego zresztą grosza, na opłatę pism, lecz czyta dużo, a przez to oświeca się w każdym kierunku. W czeskich wsiach w każdej prawie chacie jest gazetka. U nas jeszcze do tego, niestety, bardzo daleko.

Z dymem tytoniu. Zestawienie rocznej produkcyi tytoniu wykazuje, że w roku ubiegłym przerobiono 1361 milionów kilogramów tytoniu na 75 miliardów papierosów i 300 milionów cygar. Same Stany Zjednoczone Ameryki północnej i republiki środkowo-amerykańskie przerobiły 349 milionów kilogramów. Znacznie mniej spotrzebowała Ameryka południowa, Afryka i Australia. Zauważyć wogóle należy, że palenie tytoniu stale wzrasta. — Jeszcze w roku 1902 roczna produkcya tytoniu nie przekraczała jeszcze i tak pokaźnej cyfry — jednego miliarda kilogramów. Widać więc, że nałóg palenia tytoniu, które nie przyczynia się do zdrowia, lecz owszem szkodzi, rozpowszechnia się ustawicznie na całej kuli ziemskiej.

Zniżki ceny jazdy na okrętach Austro-Amerykany dla wojskowości. Na mocy zawartej umowy z ministerstwem wojny udziela Austro-Amerykana PT. wojskowości i żonom oficerów 50-proc. zniżkę ceny jazdy. Zniżka ta odnosi się też do ekspedycyi bagaży. Okoliczność powyższa umożliwi kołom wojskowym odbywanie dłuższych podróży tak dla przyjemności, jak i dla wypoczynku, szczególnie po morzu Śródziemnem.

Wykaz dochodów ruchu i odbytych mil morskich Austro-Amerykany w Tryeście. — Przychód do końca października 1911 kor. 25,800.803, w r. 1910 kor. 24,255.150, zatem więcej o 1,545.653 koron. — Ilość odbytych mil morskich do końca października 1911: 1,207.030, w roku 1910 1,247.678, zatem mniej o 40 648.

Każdą reklamacyę wraz z reklamowanym numerem posyłamy do dyrekcyi poczt we Lwowie.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP.: Kazimierz Tokarski w W.: Czyje prace najpierw drukujemy, zależy to od wielu rzeczy, a więc: od dobroci utworu, wyraźnego pisma, bo mniej trzeba poprawiać i dopisywać, od miejsca w numerze i t. p. Dobre jednak rzeczy czy wcześniej czy później doczekają się druku. — Franciszek Magryś w H.: Wiersz »Na Nowy Rok« zbyt długi a szkoda go było skracać, więc schowaliśmy na później. — Jędrzej Czarnik w Rz.: Pomimo że wiersz »Na Rok Nowy« dobry, nie możemy go umieścić, gdyż wierszy podobnych otrzymaliśmy 47; chcąc wszystkie wydrukować, trzebaby ze trzy numera zadrukować. Powiastka i szarady będą. — Jan Maćków w S.: Owszem, »Rolę« przez kwartał za otrzymana koronę będziemy posyłali. — Lorenc Rzepka w P.: Cieszy nas, że i socyaliści »Rolę« czytają i że się im podoba. Może prędzej przekonają się' że prawda nie pod czerwonym sztandarem, ale przy Bogu i Ojczyźnie. — Jan Bożek: »Humoreskę« otrzymaliśmy — dziękujemy. — Jan Wielopolski w J. p.: »Cygan adwokatem« umieścimy. — Fr. Bąbaś w H.: Jaki towar przesyłają firmy ogłaszające w »Roli« my nie wiemy, to też Redakcya za ogłoszenia nie bierze żadnej odpowiedzialności. Po cennik żądanych książek niech Pan napisze do Księgarni Wojnara, Kraków, ul. Szewska 20. — Wygrane zależą zupełnie od losu. Józef Kiełb: Szarady dobre — umieścimy. — Katarzyna Lasek: My, jak również i Maciek za życzliwe słowa dziękujemy. — Bogusia Moroniówna w Ł.: Zagadki pójdą. — Piotr Witek w S.: Trudno, my zadarmo posyłać nie możemy a na koronę kwartalnie każdy zdobyć się może. — Józef Skoczylas w B.: Za słowa uznania i tak miłe pozdrowienia serdecznie dziękujemy i nawzajem przesyłamy wyrazy przyjaźni. — Michał Żdziebłowski w Ł.: Wierszyk trochę spóźniony, musi zaczekać drugiej jesieni. — Jan Bilicki w K.: Prosimy o bliższe wytłomaczenie sprawy a chętnie życzenie, o ile to będzie możliwe, uwzględnimy. — Marcin Manicki w P.: Żal nam, ale na kredyt posyłać nie możemy, boby nam to ogromnie utrudniało rachunki. — Piotr Gródek w B.: Adres »Tyg. rolnicz.« Kraków, Gmach Tow. rolniczego, plac Szczepański, »Wiązankę« otrzyma Pan w księgarni Wojnara Kraków, Szewska 20. — Władysław Wołowiec w S.: Z listu do Maćka wkrótce skorzystamy. — Stały Czytelnik w T.: Jeżeli rzeczywiście tak dzieje się, to powinny w rzecz tę wglądnąć władze do tego powołane; nam trudno rzeczy takie drukować, gdyżby to nie interesowało innych czytelników. — Ludwik Guzek w K.: Zagadki otrzymaliśmy — pójdą powoli. — Władysław Sycz w Z.: Za tak serdeczne i miłe słowa szczerze jesteśmy wdzięczni. I mybyśmy chcieli, aby »Rola« była obszerniejsza, gdyż chęci nam do pracy nie brak, ale przy powiększeniu gazetki musiałaby być i cena jej wyższą. Okładki dla wszystkich, którzy przysłali po 50 h. wysłaliśmy w sobotę 30 grudnia. — Teofila Forysiówna: Pieniądze papierowe można posłać w liście, ale list musi być wysłany za recepisem (polecony). Wesoły wierszyk z Ameryki odczytaliśmy z prawdziwą przyjemnością. Cieszy nas, że Pani tak wesoło życie upływa. Wład. Michno w Cz.: List do Maćka już spóźniony, gdyż ten od Nowego Roku znalazł sobie służbę — chyba na przyszły rok. — Ferdynand Kuraś w T.: Wierszyki otrzymaliśmy, dziękujemy i zastosujemy się do życzenia. Prosimy o dalszą pamięć. — Jan Kuziara w Ż.: Zagadka dobra, umieścimy. — Jan Wielopolski w J. p.:

Za piękny list serdeczne dzięki. I my odczuwamy postęp oświaty wśród braci naszych, choć jeszcze, niestety, w wielu wioskach ma ona przed sobą bramy zamknięte. Nie zrażajmy się jednak tem, ale przebojem zdobywajmy serca i umysły dla dobrej sprawy — Jan Topolski w Cz.: Za życzenia i piękną kartkę dzięki. — Ks. W. Młyniec w B.: Za wiadomość serdecznie dziękujemy. — Robert Rydz w T.: Otrzymaliśmy i będzie wnet. Łączymy przyjacielski uścisk dłoni. Stanisław Hulak: Wierszyki otrzymaliśmy i chętnie je wydrukujemy, tylko trochę później, gdyż teraz brak jeszcze miejsca. Przybory stolarskie posiada firma Alfons Mensik, Kraków, ul. Florjańska l. 34. Andrzej Wróbel w K.: Kronika będzie w przyszłym numerze. — Antoni Jasek w P.: Powiastki, o ile dobre, chętnie wydrukujemy. — F. Masłowski w P.: Jest to niesumienność czyje czytać a do tego niszczyć a samemu nie chcieć zaprenumerować. Poczta takim ludziom gazetki Pańskiej nie powinna dawać. Adres zmienimy.

Za zmianę adresu należy się 40 halerzy.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 2 stycz.

Pszenica	Kor.	11·70	do	11·90	za 50 kg.
Żyto	„	10·—	„	10·45	„
Jęczmień	„	9·20	„	9·90	„
Owies	„	9 —	„	9·55	„
Otręby pszenne	„	7 —	„	7·10	„
Otręby żytnie		7 10	„	7 20	„

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 2 stycznia:

Buhaje	Kor.	120	do	300	za sztukę
Woły	„	250	„	390	„
Krowy	„	140	„	303	„
Jałówki	„	112	„	236	„
Cielęta	„	22	„	80	„
Owce i kozy	„	—	„	—	„
Świnie bita waga)		124	.	140	za 50 kg.

Zagadki do nagrody.

1. SZARADA.
(Ułożył Robert Rydz).

Pierwsze z czwartem wyzwisko niełądne,
Drugie z trzeciem w Borysławiu mamy.
Całość znowu bardzo dobrze znamy,
Gdyż to u nas ptaki bardzo znane
Przez myśliwych chętnie polowane.

2. SZARADA.
(Ułożył Stanisław Habura).

Pierwsze z początku to podczas gorąca,
Drugie, trzecie, czwarte każda wieś mająca,
Drugie i piąte to do śpiewu używana,
Czwarte i piąte część długu spłacana.
Całość zaś to jest za gazety płaca,
Kto się nie uiści gazetę utraca.

3. PRZESTAWIANKA.
(Ułożył Ludwik Guzek).

Bi, bi, bie, li, chleb, ro, ry, so, ła, za, na, ru, wiek, czki, czło, czo, cem, po, kto, mień, zdo.

Z powyższych zgłosek ułożyć dwuwiersz.

4. ZAGADKA.
(Ułożył Jan Pożdał).

Z trzech liter się składam,
W »Roli« szczęściem władam.
Jeśli mię posiędziesz,
To się cieszył będziesz.

5. SZARADA.
(Ułożył Jędrzej Czarnik).

Pierwsze i pół drugiego,
Stanowić będzie z ludzi jednego,
Druga połowa zarazem trzecie
Mają to żydzi wszak wszyscy wiecie,
Jenerał polski całością włada,
Jak bił Moskali zgadnąć wypada.

6. SZARADA.
(Ułożył Józef Kiełb).

Pierwsza z trzecią, to się w domu chowa,
Druga z trzecią, na wyścigach bywa.
Całość gdy się okaże jest rzeczą ciekawą,
A nawet często ludzi napełnia obawą.

* * *

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 13 stycznia 1912 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

Wydawca: Stanisław Kopernicki. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.

Drukarnia „Czasu" w Krakowie, p[illegible] Aleksandra Świerzyńskiego